

Kategoria Osoby Dorosłe

I miejsce: Aneta Lejwoda-Zielińska

Godło: Alicja Jonasz

O Olbrzymie z Bargędzina

Dawno, dawno temu, gdy ziemie wokół dzisiejszego Bargędzina porastała nieprzebyta puszcza, żył w niej pewien olbrzym. Mówiono, że był ostatnim z pradawnego rodu gigantów, którzy niegdyś licznie zamieszkiwali te okolice. Czas zatart jednak wszelkie ślady bytowania tych kolosów, nazywanych przez ludzi strażnikami puszczy lub dziećmi skał i ziemi. Po ich potędze pozostały jedynie ogromne głazy o niezwykłych kształtach oraz dawne opowieści, przekazywane szeptem przy ognisku.

Nasz bohater nazywał się Bargęd, co w starym języku znaczyło: „ten, który buduje”. Imię to nadano mu nie bez powodu, gdyż od najmłodszych lat przejawiał niezwykły talent do tworzenia. Z kamieni i pni drzew wznosił mosty nad strumieniami, budował szałas dla zwierząt, a nawet układał budowle przypominające chaty ludzi, których lubił z daleka podpatrywać.

Choć był ogromny niczym dąb i silny jak stu mężów, serce miał łagodne i dobre. Często pomagał leśnym zwierzętom i roślinom. Ptakom naprawiał gniazda zniszczone przez wichry, prostował drzewa powalone przez burze, a zimą dzielił się z mieszkańcami puszczy zapasami korzeni i orzechów. Jednak mimo swej dobroci, Bargęd był samotny. W głębi duszy pragnął towarzystwa ludzi, których śmiech i pieśni często docierały do jego siedliska z pobliskiej wioski.

Niestety, oni bali się go i unikali jak zarazy. Gdy się zbliżał do wioski, spotykał się z lękiem i pogardą. Dzieci zaczynały płakać na jego widok, starcy przypisywali mu wszelkie nieszczęścia, które spadały na osadę, a kobiety, choć zaciekawione jego posturą, mówiły wprost, że jest brzydki i straszny.

Słowa te głęboko go raniły, lecz mimo to wciąż łaknął obecności ludzi. Marzył, by wreszcie dostrzegli w nim nie potwora, lecz istotę głęboko czującą, która pragnie stać się częścią ich wspólnoty.

Pewnego dnia zebrał się na odwagę i udał się do wioski. Zbliżył się powoli, by nie przestraszyć mieszkańców, i przemówił łagodnym głosem:

— Myślę, że mógłbym wam pomóc w zbiorach. Zima tego roku nadejdzie wcześniej, a wy nie zebraliście jeszcze nawet połowy plonów.

Ludzie jednak, widząc potężną postać i szkaradną twarz olbrzyma, nie uwierzyli w jego dobre intencje. Ukryli się do chaty najstarszego z nich i zaczęli się naradzać:

— Na pewno chce nas oszukać. Pozwolimy mu wejść między nas, a on nas pożre jednego po drugim. Lepiej pozbądźmy się go, zanim sprowadzi na nas nieszczęście.

W końcu po długiej naradzie wymyślili podstęp, dzięki któremu, jak mniemali, zdołają pozbyć się natręta, a przy okazji wykorzystają jego niezwykłą siłę i talent do budowy wiatraka na pobliskim wzgórzu. Wiatrak bardzo ułatwiłby życie mieszkańcom, którzy, by zmielić zboże, musieli do tej pory jeździć furmanką do młyna oddalonego od wioski o całą dzień drogi. Wzniesienie takiej budowli wymagało lat ciężkiej pracy, lecz olbrzym mógłby dokonać tego w zaledwie kilka dni.

Zadowoleni z własnego pomysłu, wieśniacy wyszli z chaty i z udawaną życzliwością zwrócili się do olbrzyma.

— Jeśli wykonasz trzy zadania, przyjmimy cię do naszej wspólnoty — powiedział najstarszy z nich, siląc się na uśmiech. — Spójrz na to wzniesienie! Chcemy, byś w jeden dzień wykarczował porastające je drzewa, a pozyskane z nich drewno ułożył w sterty.

Bargęd, usłyszawszy te słowa, poczuł, jak w jego sercu budzi się nadzieja. Wreszcie miał szansę udowodnić ludziom, że nie jest potworem, lecz kimś, kto potrafi być pożyteczny. Skinął głową i bez wahania zgodził się na ich warunki, nie przeczuwając, że za obietnicą przyjęcia go do gromady kryje się zdrada.

Zabrał się do pracy o świcie. Jego dłonie były niczym siekiery, drzewa z głuchym jękiem padały jedno po drugim. Ziemia drżała pod stopami olbrzyma, a zwierzęta, żyjące wśród gęstwiny, pierzchały na boki. Do zmierzchu las na wzniesieniu został wykarczowany, drewna zaś było tyle, że starczyłoby na dziesięć wiatraków. Ale cóż to! Olbrzym, zamiast się cieszyć z dobrze wykonanego zadania, wrócił do wioski smutny. Wszak do tej pory strzegł puszczy i dbał o jej mieszkańców, a teraz, chcąc wkupić się w łaski ludzi, w jeden dzień obrócił wszystko w porębę. Wieśniacy, widząc drewno równo poukładane w sterty, nie kryli zdumienia. Co prawda cieszyli się, że wreszcie mają materiał na wiatrak, lecz w głębi duszy obawiali się gniewu olbrzyma.

— Jeśli Bargęd potrafi dokonać tak wiele w jeden dzień, co z nami uczyni, gdy dowie się prawdy?
— pytali jeden drugiego.

Chciwość jednak szybko wzięła górę nad strachem. Nazajutrz jeden z chłopów ogłosił drugie zadanie:

— Dobrze się wczoraj spisateś, olbrzymie! Teraz, gdy mamy już drewno, chcemy, byś w jeden dzień na wzniesieniu wybudował z niego wiatrak.

Bargęd ucieszył się na te słowa. Od zawsze miał talent do budowania. Potrafił wznosić solidne konstrukcje z kamienia i drewna, a jego dłonie, choć ogromne, działały z niezwykłą precyzją. Zabrał się więc do pracy, ciesząc się, że drewno z wykarczowanych drzew nie pójdzie na marne, lecz przysłuży się ludziom. Podczas pracy podśpiewywał tak głośno i wesoło, że pieśń huczała po lesie niczym odległa burza.

Od świtu aż do zmierzchu dźwigał ciężkie bale, obrabiał je z wprawą, układał jedne na drugich i wiązał. Każdy element pasował do siebie idealnie. Gdy słońce chyliło się ku zachodowi, na wzgórzu stał już potężny wiatrak, którego skrzydła, popychane przez wiatr, poruszały się lekko.

Wieśniacy patrzyli na dzieło z niedowierzaniem. Budowla była naprawdę wspaniała, ale świadomość, że powstała dzięki olbrzymowi, który wkrótce upomni się o zapłatę, nie dawała im spokoju. Bargęd jednak nie dostrzegał ich obaw. Rozpierały go duma i szczęście. Wszak spełniło się jedno z jego marzeń – wybudował wiatrak, który będzie przez lata służył nie tylko ludziom, ale i też jemu, gdy zamieszka w wiosce.

Chłopi nie spali w nocy, tylko dyskutowali nad trzecim zadaniem. O poranku jeden z nich wystąpił z gromady i rzekł, wskazując na wiatrak:

— Wybudowałeś mocny i piękny wiatrak, Bargędzie, lecz bez kamienia młyńskiego jest jak człowiek bez serca. Z zamorskiej krainy trzeba sprowadzić kamień, twardy jak skała i gładki jak tafla jeziora. Tylko on nada się na koto młyńskie. Jeśli go przyniesiesz, wiatrak ożyje, a my przyjmujemy cię do naszej wspólnoty.

Ludzie byli pewni, że tym razem olbrzym zginie. Z opowieści kupców, którzy wędrowali ze słonecznego południa na północ po jantary, dowiedzieli się, że morze jest głębokie i burzliwe, a fale potrafią pochłonąć nawet największe statki.

Bargęd wyruszył w podróż. Niesiony nadzieją, przepłynął morze wpeław, walcząc z falami i wiatrem. W dalekiej krainie znalazł ogromny głaz, włożył go na plecy i wrócił do wioski. Pokryty solą i wodorostami, stanął u stóp wzniesienia, uginając się pod ciężarem skały, lecz ludzie, zamiast cieszyć się z jego powrotu, drwili z niego:

— Cóż to za maskara? Nie chcemy cię, potworze! Odejdź, zanim sprowadzisz na nas nieszczęście!

Słowa te przeszły serce olbrzymowi jak ostrze. Długo milczał, patrząc na rozwścieczonych ludzi, dla których poświęcił przecież tak wiele. Smutek i rozczarowanie bardzo szybko przemieniły się w gniew. Zrozumiał, że został oszukany. Ludzie nie zamierzali przyjąć go do swojego grona. Z rykiem uniósł głaz wysoko nad głowę i cisnął nim w wiatrak, który sam zbudował. Uderzenie było tak potężne, że budowla rozpadła się w pył, a ogromny kamień utknął głęboko w ziemi na wzniesieniu.

Bargęd odszedł w głąb puszczy, gdzie po dziś dzień żyje w zgodzie z jej mieszkańcami. Czasem można go podobno spotkać wśród kniei. Od tych wydarzeń minęły wieki. Głaz, przyniesiony z zamorskiej krainy przez ostatniego z rodu gigantów, wciąż leży na wzniesieniu. Miejscowi nazwali go Olbrzymem, na pamiątkę tego, który gotów był oddać ludziom serce, lecz w zamian doznał zdrady i niewdzięczności. Wieś, leżącą w pobliżu wzniesienia, gdzie ów głaz spoczywa, nazwano zaś Bargędzinem.

II miejsce: Grzegorz Czech

Legenda o stołowym lesie w Wicku – opowieść starego cisu

W gminie Wicko, w powiecie lęborskim, pomiędzy budynkiem szkoły a popularnym placem zabaw mieszka niepozorny acz niezwykle zacny jegomość. Ha! Mieszka – to może zbyt personifikacja, ale... uzasadniona, o czym zaraz się przekonacie. Chodzi bowiem o drzewo. Niezbyt wysokie i rozłożyste, za to wiekowe, a już na pewno najdziwniejsze z wszystkich drzew, które w życiu napotkałem. To Pomnik Przyrody – najstarszy cis na Pomorzu. I to drzewo potrafi mówić!

Było ciepłe niedzielne popołudnie w samym środku lata i właśnie bujałem się na niezbyt wygodnym hamaku przy Bagnie Shrecka (to ten plac zabaw, o którym wspominałem). Moja córka Etna zajeżdżała ledwie zipiącą tyrolkę, jej dwie starsze siostry Maja i Lara majdały nogami, bujając się na huśtawkach, a ja cieszyłem się błogim spokojem pod błękitnym pomorskim niebem. Mój wzrok w pewnym momencie powędrował w stronę starego drzewa. Ono naprawdę nie robi wrażenia, stoi wciśnięte między rośniejsze od siebie graby i trudno uwierzyć, że jest tu najstarsze i ma najwięcej do powiedzenia. No właśnie – bardziej do o-powiedzenia!

„Chodź, opowiem Ci historię...” – nie wiem, co to było! Może za długo leżałem na słońcu, a może zaczynałem właśnie śnić, ale jak Boga kocham, wyraźnie usłyszałem w mojej głowie te słowa. A potem jeszcze raz: „Podejdź tutaj, mam Ci coś do opowiedzenia”. To musiała być jawa! Wstałem z hamaka, rozejrzałem się dokoła, ale... wyglądało na to, że życie toczy się dalej swoim rytmem-dzieci dokazują, dorośli patrzą w telefony, a ja... wcale nie śnię! Wtedy poczułem dziwny zew, nieodpartą chęć, by podejść do drzewa. Iza nim się zorientowałem, stałem już pod nim wpatrzony w mroczne konary i zasłuchany w szum jego opowieści. Nie wiem, jak długo to trwało. Nie wiem, jak drzewo mówiło, czy używało słów, jak człowiek, czy raczej emanowało obrazami wprost do mojego mózgu. Wiem, że wszystko widziałem wyraźnie, oczami wyobraźni albo na jawie. Całą tą straszną historię, od której włos jeży się na głowie. Po której długo jeszcze stałem oniemiały, tak, że dopiero mocne szarpanie za ramię moich córek wyrwało mnie z letargu. I nawet potem, kiedy już wróciliśmy do domu (choć nie pamiętam drogi powrotnej), długo nie byłem w stanie niczego opowiedzieć, choć dzieci i żona mocno nalegały.

Ech... No ale w końcu jakoś to przetrwałem. Nastąpiła ta ciepła sierpniowa noc, w czasie której śpimy na dworze, patrząc w gwiazdy i snując różne opowieści. I w końcu przyszła kolej na mnie.
- Tato, opowiesz nam wreszcie, co usłyszałeś od drzewa? – spytała Etna.

- No właśnie, tato, opowiedz! Tak długo już czekamy – zawtórowały jej Maja i Lara.

- Ech... No dobrze. Opowiem. A więc było to tak. Stary cis z Wicka jest tutaj najstarszym drzewem -ma około pięciuset lat.

- Pięćset lat?! Ale stary! – krzyknęła Etna.

- W momencie, w którym dzieje się ta historia nie było go jednak jeszcze na świecie. To nam powinno uświadomić, jak dawno miały miejsce wydarzenia, o których opowiadał. Ich pamięć została mu przekazana w ziarnie, z którego wyrósł, a które zasiał jego o wiele, wiele starszy

rodzic.

- Drzewa żyją bardzo długo – zauważyła Maja,

- Tak, żyją wielokrotnie dłużej niż ludzie. A jednak... to ci drudzy, choć wiekiem i wzrostem nie dorastają im do pięt, często decydują o ich być albo nie być.

- Jak to? – zawołała Etna.

- Postuchaj tej historii. A więc... dawno, dawno temu, na ziemi żyli... stolemowie.

- Stolemowie? Wiem! Znamy ich! To te głupkowate trolle, których figury kiedyś widzieliśmy... gdzieś tam... – zawołała Lara.

- W Janowie, moja droga. Tak, to prawda. W Janowie szczycą się znajomością z tymi wielkoludami, jednak te podobizny są dla nich niezwykle krzywdzące. Stolemowie wcale nie byli prostakami. Był to ród wielkoludów filozofów!

- Cooo? To zupełnie do nich nie pasuje!

- Nie pasuje do legendy, niemniej jednak jest prawdą. Przynajmniej tak powiedziało mi drzewo. Ale postuchajcie dalej. Stolemowie byli bardzo rozumnymi istotami. Mieli po kilka metrów wysokości i zdecydowanie górowali nad ludźmi wzrostem. Ale co ważniejsze, przewyższali ich także intelektem! Celem życia stolemów nie było, tak jak większości ówczesnych ludzi przetrwanie, lecz poznanie i zrozumienie otaczającego ich świata. To temu podporządkowane były ich wszelkie działania i to ta szczytna ambicja popychała ich dalej i dalej przez wieki i kontynenty. Stolemowie byli bowiem zapalonymi podróżnikami.

- Łał! Też bym tak chciała. Zwiedzać świat i go poznawać. Zamiast siedzieć w szkole i o nim tylko czytać – odezwała się Lara.

- Prawda, że to zdecydowanie ciekawsze? – przyznałem jej rację. – Stolemowie byli rośli, dlatego łatwiej było im odbywać dalekie podróże. (Mówimy o czasach, w których nie było samolotów). A poza tym byli długowieczni, jak drzewa, co dawało im potężne możliwości gromadzenia wiedzy i wykuwania mądrości życiowej.

- Długowieczni jak drzewa... Ach... jak to pięknie brzmi. – rozmarzyła się Maja.

- No właśnie... Jak drzewa. A drzewa zapuszczają przecież korzenie – mój głos tutaj zadrżał, jednak zdołałem to opanować. – Stolemowie przeszli tysiące gór i setki mórz, zwiedzili krainy od wschodu po zachód i od południa po północ. Znali gorące pustynie i mroźne tajgi, wichrowe szczyty i głębiny morskie. Poznali i rozwikłali większość tajemnic ziemi, aż w końcu dotarli tutaj, na nasze nadmorskie tereny. I tutaj postanowili dostownie zapuścić korzenie.

- Jak to? Tutaj? W Wicku?

- W Wicku, a dokładnie właśnie obok naszego domu, tam gdzie obecnie rozciągają się tzw. Łąki Krakulickie! Trudno powiedzieć, co urzekło stołomowych mędrców w naszej okolicy. Jest ona oczywiście bardzo piękna i fascynująca, no ale... czy na świecie nie ma bardziej interesujących miejsc...?

- A może chcieli tu po prostu odpocząć? – odezwała się Etna.

- Być może. Może właśnie to miejsce uznali za idealne to kontemplowania zdobytej wiedzy, może ujął ich widok naszego pięknego morza, a może mieniącego się cudownymi kolorami nieba. Tak czy siak postanowili tutaj właśnie zamieszkać. Ale to mieszkanie, hm... nie było tym, o czym sobie myślicie.

- Co to znaczy? Nie mieszkali w domach?

- Stołomowie nie byli przecież ludźmi! Ich organizmy, choć z zewnątrz podobne do naszych, działały na innych zasadach. Kiedy podjęli decyzję o osiedleniu się na tej ziemi, nie oznaczało to, że pobudują domy i w nich zamieszkają. Nie. Oni dostownie zaczęli zapuszczać tutaj korzenie!

- Korzenie? Czyli rzeczywiście byli jak drzewa?!

- Dokładnie tak. Stojąc twarzą mi do morza na łące, którą teraz macie za plecami, stołomowie raz na zawsze zdecydowali, że nigdzie więcej już stąd się nie ruszą. Że tutaj chcą już pozostać i od tej pory zamiast podróżować z miejsca na miejsce, będą już tylko rozważać i przetwarzać zebraną przez wieki wiedzę. Ich oczy i uszy widziały i słyszały już wszystko, co mogły, ich nogi przewędrowały ziemię po wielokroć, a ręce poznały każdą pracę – cóż więcej miała im do zaoferowania nasza planeta? Tym, co wciąż pozostawało nienasycone, był u stołomów intelekt! Pracujący na najwyższych obrotach, operujący na rejestrach niedostępnych dla ludzkiego umysłu, przewyższający swą doskonałością i możliwościami najmocniejsze współczesne komputery! Intelekt i duch, współdzielony przez całe plemię, tak, że nawet i rozmowa przestała im być konieczna, gdyż wszelka wymiana myśli odbywała się między nimi na zasadach telepatii.

- Telepatia? Co to? – chciała wiedzieć Etna.

- Telepatia, no wiesz... To znaczy, że możesz kontaktować się z innymi bez mówienia, takie przesyłanie myśli wprost do czyjegoś mózgu – pośpieszyła z wyjaśnieniem Maja.

- Aha... I to jest możliwe?

- Dla stołomów było. – kontynuowała. – Mijały lata – dla nas brzmi to długo, dla naszych bohaterów niekoniecznie. Plemię gigantycznych filozofów pozostawało w bezruchu, ich nogi wrastały w ziemię, a ręce i resztę ciała zaczynał porastać mech. Ich funkcje życiowe zwalniały do koniecznego minimum i nasze wielkoludy powoli zamieniały się w drzewa. Popękana skóra stała się twardą korą, przymrużone oczy i nieruchome od lat usta zdrewniały, myliłby się jednak ktoś, kto myśli, że stołomowie umarli. O nie! Wewnątrz tych ogromnych drzewców ciągle tętniło życie, ramiona co wiosnę pokrywały się świeżymi liśćmi, a całe postacie z roku na rok potężniały, rozprzestrzeniając swe konary coraz wyżej i szerzej. I jeszcze jedno – ich umysły pracowały coraz lepiej! Nawet sprawniej niż wówczas, kiedy stołomowie jeszcze poruszali się po ziemi. I lepiej

niż umysły ludzi, którzy w końcu dotarli na te tereny. I to niestety zwiastowało ich koniec.

- Czyj koniec? Ludzi? – wyrwała się Etna.

- Nie. Koniec stołomów!

Przez chwilę zapadła cisza. Nocne niebo przecięła smuga spadającego meteorytu, ale nikt nie podjął tematu. Wszyscy byliśmy myślami w lesie. W stołomowym lesie.

- W końcu na te tereny zaczęli docierać ludzie –kontynuowałem. –Żyli oni tutaj i wcześniej, jednak opowieści o tajemniczym lesie zaczęły się rozprzestrzeniać, a to zaczęło przyciągać ciekawskich. Pragnęli oni sprawdzić, czy opowieści o magicznej mocy lasu są prawdziwe.

- Magicznej mocy lasu? Nic o tym nie wspominając – zauważyła przytomnie Maja.

- Racja, już mówię. Las w który zamieniło się plemię stołomów, nie był zwyczajnym lasem. Poza potęgą drzew wyróżniało go to, że był to... myślący las! Las filozoficzny! Mądrość i wiedza zgromadzona przez stołomów emanowała teraz z ich liści, dyskusje i rozważania toczyły się w płątaniu korzeni i można było je naprawdę usłyszeć! Jeśli tylko ktoś chciał...

- I ludzie przyjeżdżali słuchać rozmów lasu?

- Tak. Każdy, kto chciał, mógł skorzystać z mądrości lasu. Drzewa nie trzymały jej zazdrośnie dla siebie, chętnie dawały się podsłuchiwać, a może po prostu... nie zważały na to, że ktoś słucha? Tak czy siak, niejeden prosty człowiek, jeśli miał tylko otwarte serce, mógł się od drzewców czegoś nauczyć. Usłyszeć odpowiedź na nurtujące pytanie, doznać olśnienia, czy chociażby ukojenia, którego drzewa chętnie udzielały. Niestety... jak wiadomo, nie wszyscy pożądaną mądrości ludzie mają czyste serca. I jednym z takich ludzi był Raach.

- Raach? – nie dostyszała Lara.

- Rach-ciach-ciach! – dorzuciła po swoim Etna. – Czyli ten Raach był zły?

- Raach był człowiekiem o stalowym sercu. Mocnych ramionach i silnych dłoniach, których przedłużeniem był topór. Przybył z północy, zwabiony opowieściami o mądrych drzewach, a należał do tego rodzaju ludzi, którym życie w spokoju i harmonii z innymi po prostu nie wystarcza. Raach pożywał władzy i bogactwa, i był gotowy na wszystko, by te rzeczy zdobyć. A jeśli mądrość lasu mogła go do tego celu przybliżyć, to miał zamiar z tego skorzystać bez ograniczeń. Kłopot w tym, że zupełnie nie rozumiał lasu ani jego mądrości.

- Czy ten Raach chciał stać się władcą lasu? – wybiegła do przodu Etna.

- Raach ubzdurał sobie, że posiadzie mądrość lasu tylko dla siebie. Co to za mądrość, którą można wziąć za darmo?! Cóż to za wiedza, za którą nie trzeba płacić?! Czyż nie lepiej pojmać ją dla siebie, na własny tylko użytek, a jeśli się dzielić nią, to tylko według własnego uznania i nigdy bez zapłaty?! Tak rozumował ten człowiek. I gdyby jeszcze postanowił zająć las, ogrodzić go płotem albo murem i sprzedawać bilety... Ale nie! Raach postanowił wyciąć stołomowy las

i uczynić z jego drzew wielką twierdzę na swoją chwałę!

- Wyciąć las?! – Etna aż rozdziawiła buzię.

- Tak. Zamek zbudowany z drewna filozoficznych drzew, miał być bazą, z której Raach mógłby rządzić i panować nad światem. Ach, gdyby tylko choć na chwilę z otwartym sercem wsłuchał się w to, co szeptał stołomowy las, zrozumiałby jak potężnym głupstwem i okrucieństwem jest to, co zaplanował. Niestety było na to za późno...

- I las stołomowy został wycięty?! – niedowierzała Lara.

- Raach nie miał żadnych zahamowań. Owładnięty żądzą bogactwa i władzy rąbał, ciął i wyrwał wszystko, co wpadło mu w ręce. Jemu i jego towarzyszom oraz armii niewolników, którymi uczynił okolicznych mieszkańców. Drzewa padały jedno po drugim, dostojne tysiącletnie giganty, których historia snuła się od samego zarania dziejów, odchodziły w niebyt. Myślące istoty zmieniały się w materiał budowlany, ich życiodajne soki, źródło poznania i otuchy dla ludzi, parowały sycząc w niezliczonych ogniskach na wielkim zrębie, w który zamienił się stołomowy las. Dymy i trzask siekier niosły się na kilometry, rozgłaszając wszem i wobec wieści zniszczenia i mroku, którego czas właśnie nastawał. Im bardziej z powierzchni ziemi znikał myślący las, tym wyżej wznosiła się obrzydliwa twierdza, którą budował człowiek-topór. Jej koniec okazał się jednak rychlejszy, niż ktokolwiek mógł przypuszczać.

- Co stało się z tą twierdzą? Chyba... znam już tą historię.. Czy to jest...? - Maja zmrużyła oczy...

- Z pewnością ją znasz. Jest to bowiem historia stara jak świat, która wciąż na nowo się powtarza. Historia o niebosiężnych wieżach i twierdzach, które ludzie budują, licząc na to, że tam na wysokości czeka na nich prawdziwe szczęście. Że tam, będąc na górze, zdobędą miłość i uznanie tego świata w dole, że tylko tak z nim się dogadają i nad nim zapanują. A przecież prawda jest całkiem odmienna. Mądrość i szczęście znajdujemy między równymi sobie, poprzez wzajemny szacunek i wrażliwość na siebie i otaczający nas świat. Przez słuchanie siebie i ubogacanie się nawzajem. Gdyby tylko Raach chciał wsłuchać się w to, co mówią drzewa, zbudowałby coś o wiele cenniejszego, niż drewnianą budowlę, którą w końcu zmiotła powódź...

- Aha, czyli ten zamek w końcu runął. A z lasu została łąka... – podsumowała Etna.

- Tak. To ta łąka, po której chodzimy z psem na spacer. Zresztą nie tylko my.

- Lubię tam chodzić. Tam zawsze mam najlepsze pomysły na książki! – ożywiła się Lara.

- Nie tylko Ty, moja droga. Ja też lubię tam wędrować. Tam się bardzo dobrze rozmyśla. Kto wie? Może niektóre korzenie filozoficznego lasu przetrwały tam do dzisiaj...

Skończyłem opowiadanie. Rodzina długo jeszcze leżała na hamakach i materacach w ciszy, wpatrując się w niebo. Gdzieś tam w przestworzach unosiły się pewnie drobne cząsteczki wykarczowanego lasu filozofów, resztki ich spopielonej dawno mądrości i wiedzy. Tak bardzo chcieliśmy ją usłyszeć, że w końcu... splotnęła na nas! Cicha i kojąca. W postaci miłego i pokrzepiającego snu.

Rolf Zeebrugge

III miejsce: Robert Chyłek

Kart. Osoby dawności

Legenda o Wielkiej Księżnej z rodu Cholerae,
która to zaszczyliła swoją Jaśnie Pańską osobą Lębork. Nasze ukochane miasto.

Marcowy wieczór był ciężki i lepki jak powietrze nad wykopem.

Tam, gdzie ulica Majkowskiego styka się z ziemią dawnych łąk, koparki wgryzały się w podłoże jak stalowe bestie, rozdzierając warstwy ziemi. Nie wiedziały, że zrywają też wieko starego grobu.

Pod warstwą gliny i piasku spała ona — Vibrio, jaśnie Wielka Księżna nocy, z rodu Cholerae. Przez sto sześćdziesiąt lat jej sen był głęboki, przykryty ciszą i zapomnieniem. W jej snach przewijały się obrazy dawnych ofiar — białych ludzi, którzy padali na bruk, gdy jej imię szeptał wiatr epidemii. Teraz jednak ziemia zdrząła, a huk maszyn rozerwał pieczęcie spokoju.

Pierwszy obudził się Mariusz Vairus, jej wierny szambelan. Jego sylwetka była cieniem, kształtem utkany z mroku i drżenia powietrza. Pochylił się nad kamienną płytą, która pękła pod naporem łyżki koparki.

— Pani... — wyszeptał, a echo tego słowa rozeszło się w ziemi, jakby sama gleba była chora. — Czas wraca. Ludzie zapomnieli.

Koparki kończyły pracę, metalowe zęby ryły w ziemi, jakby szukały samego piekła. Operator ziewał, marząc o kanapce z żabki, gdy łyżka maszyny uderzyła w coś, co nie było ani kamieniem, ani stalą. Powietrze nagle zgęstniało, jakby ziemia wypuściła oddech, który trzymała w płucach od 160 lat.

To wystarczyło.

I wtedy rozwarła się szczelina. Z wnętrza grobu uniosła się mgła, zimna i lepka jak oddech bagna. Z niej wytoniła się Vibrio. Smukła, świetlista, o oczach zimnych jak studnia, odziana w szatę utkanej z fosforyzującego szafirowego błękitu. Jej włosy falowały jak rzeka, a skórę zdobiły wzory przypominające spiralne nici DNA.

Za nią, niczym chór, podniosły się wilki — stado Bakterii. Ich sierść lśniła mokrym połyskiem, pyski kapaly śliną, a oczy żarzyły się żółtawym blaskiem. Wydali z siebie przeciągłe wycie, które nie brzmiało jak głos zwierząt, lecz jak echo setek żołądków skurczonych bólem.

Lębork 11 marca 2020

Karl Gustaf

1.///

– Ooochhh... – rozległo się z głębi wykopu, niczym wzdychanie topielca, co wraca z dna. Ziemia zadrżała. A z niej, z wapna i prochu, powstała sylwetka. Smukła, niewidzialna dla oczu robotników, a jednocześnie boleśnie realna.

– Wasza Jaśnie Wysokość – rozległ się głos Mariusza, jej wiernego szambelana. – Znow świat ma zaszczyt Waszą Jaśnie Wysokość oglądać.

Księżna Vibrio Cholerae poruszyła ramionami, strzepując z siebie grudki wapna.

– Nareszcie zdjęto mi kajdany – wyszeptła. – Tyle lat w ziemi. Tyle lat głodu. Czas powrócić.

No właśnie tak jak z topielca zdejmowana, a właściwie wysysana jest woda i może wreszcie oddychać. Swobodnie mogę oddychać

– Jaśnie pani Wielka Księżno Vibrio Cholerae, jakże to do Waszej wysokości pasuje. Powiedział Mariusz Varius

Jest takie przekleństwo „O jasna cholera, albo a niech to jasna cholera weźmie”

– Czy zastanawiała się kiedyś Wasza Wysokość nad tym określeniem? Tym stwierdzeniem jasności? O co w tej jasności chodzi? Kontynuował Mariusz Varius.

– Bo widzisz Mariusz, jak ja wszystkie soki z ciebie wysę, to jak będziesz wyglądał? No jak? Jak pergamin, jak jasny materiał.

Dobra. Tyle lat czekałam i czekałam w uśpieniu i wreszcie ktoś się zlitował i naruszył moje więzienie. I oto jestem w całej okazałości. Tak po prawdzie to jestem głodna i ruszajmy na łowy. Do ludzi, do ich świata.

Robotnicy niczego nie zauważyli. Jeden odpałił papierosa, drugi podrapał się po karku. Tylko psy na pobliskim osiedlu zaczęły wyć.

Jej towarzysze Mariusz Varius tylko się uśmiechnął.

– Niech mi tylko będzie wolno się zapytać Jaśnie Waszą Wysokość Zagadnął Mariusz.

– Jakim kryterium będzie się kierowała, Wasza Jasna Wysokość w zabieraniu sił witalnych z napotkanych ludzi?

– Zobacz Mariusz, tu przy nodze mam swoją sforę. Cała wataha wygłodniałych wilków. I zawołała je swoim słodkim autorytarnym głosem.

– Bakterie, bakterie moje słodkie bakterie, no chodźcie do mamusi. No chodźcie. Zawołała.

Wilki o oczach tak przeraźliwych, że nawet Mariusza Variusa zmroziło, pojawiły się u nóg jaśnie pani Vibrio.

– Ludzie tutaj mnie nie pamiętają — powiedziała niskim kobiecym głosem. – Vibrio, a jej głos był jak szept kropli wody, spadającej do pustego dzbana.

— Ale ja ich pamiętam. Każdy ich jęk, każdy krzyk, każdą kroplę potu. Oni są moim dziedzictwem.

Karl Gustaf

2.

Mariusz Vairus skłonił się nisko, unosząc rękę w stronę horyzontu, gdzie światła nowej hurtowni rysowały się jak bastion pychy.

— Pani, obudzili cię, burząc twój grób. Śmiertelnicy otworzyli bramy, których nie powinni tykać. Ziemia oddaje ci wolność.

Vibrio uniosła dłoń, a wilki zadrżały. Jej spojrzenie powędrowało ku miastu, które spało nieświadome.

— Czas rozpocząć ucztę — wyszeptała.

I wtedy wiatr uderzył w korony drzew, unosząc z ziemi pył starego cmentarza. Z ciemności rozległ się dźwięk, jakby setki niewidzialnych gardeł nagle zaczęły kaszleć. Miasto jeszcze spało, ale noc już wiedziała, że obudziła się dawna Wielka Księżna.

Drugi epizod – W szpitalu.

Godzina druga w nocy. Na oddziale wewnętrznym panowała cisza, przerywana tylko sygnałem pomp infuzyjnych i szmerem wentylacji. Nocny dyżur zwykle dłużył się jak guma, ale tej nocy cisza była gęsta, naelektryzowana.

Telefon w pokoju ordynatora rozdzwonił się nagle, jakby sam chciał wydarciem wyrwać kogoś z odrętwienia. Jarek, półprzytomny jeszcze ze snu, zerwał słuchawkę. Gardło miał suche jak popiół.

— Co jest, Krzysztof, że mnie budzisz? — wysapał. Brzmiało to bardziej jak skrzek niż głos człowieka.

W słuchawce drżał głos młodszego lekarza.

— Jarek... jest źle. Albo jeszcze gorzej. Rozbudziłeś się?

— Taaa... — przeciągnął ordynator, czując, jak zaczyna mu się zaciskać żołądek. — Opowiadaj, bo słyszę, że cię to zaraz rozzerwie na strzępy.

Chwila zawahania, potem padły słowa, które nagle wyrwały go ze snu bardziej niż kawa czy zimny prysznic.

— Mamy cholera w szpitalu Jarek.

Zapadła cisza. Jarek czuł, jak krew odpływa mu z twarzy.

— Co ty gadasz? Jesteś pewien? — wysyczał wreszcie. Pytał się bardziej żeby rozwlec czas, ale wiedział, że Krzysztof nie żartuje.

— Ten pacjent, co go przywieźli odwodnionego... ledwo go ustabilizowaliśmy. Ale laboratorium zrobiło cito. Vibrio cholerae. Dwa razy sprawdzali. To on nam to gównu przywiół.

Ordynator usiadł na łóżku, twarz ukrył w dłoniach.

Karl Gustaf

3.

— O ja pierdole... — wymknęło mu się cicho. — Masz wyniki z analityka? Oficjalnie?

— Mam. Karol przysięgał, że takiej jadowitej odmiany jeszcze nie widział. On ma teraz dyżur.

Chwila zawieszenia, potem ordynator wciągnął powietrze i wydał polecenie, jak generał na froncie.

— Stawiaj wszystkich na nogi. Włącznie ze starostą, burmistrzem i sanepidem.

— A wojewódzkiego też powiadamiać?

— Na razie nie. — Jarek mówił już twardo, jakby odsunął od siebie panikę. — Zamknij wszystko i wszystkich. Procedury o level wyżej niż za kowida. I stuprocentowa kwarantanna. Albo ja ich powiadomię. Ty zajmij się szpitalem. Zaraz tam będę.

Słuchawka kliknęła. W pokoju zapadła cisza, ale Jarek wiedział, że tej nocy już nie będzie ciszy.

Podniósł się, narzucił na ramiona kitel, jakby to była zbroja. W lustrze spojrzął na niego oczy człowieka, który wiedział, że miasto jeszcze śpi, ale rano obudzi się w świecie, którego nie zna.

Epizod w Ratuszu w Lęborku – wieczór pierwszej ofiary

Wieczór zsunął się nad Lębork jak ciężka kotara nasączona formaliną. W ratuszu gasły już światła, segregatory trzaskały niczym trumny, a drukarki sapały ostatnimi oddechami tonera. Urzędnicy kończyli dzień. Niektórzy spieszyli do domów, inni stali jeszcze w kolejce do toalety – tego świętego miejsca refleksji, scrollowania Tik Toka i... ostatecznej próby charakteru.

Jaśnie Wielka Księżna Vibrio Cholerae wiedziała, co się stanie. Wiedziała, że w każdym urzędzie istnieje ta ciemna kasta ludzi, którzy uważają mydło za mitologiczny artefakt.

— Mariuszu – odezwała się z królewską powagą, siedząc na tronie z przerdzewiałego kosza na śmieci. — Twoja misja. Ratusz. Toalety. Kto zanieczyści wyjdzie swymi brudnymi łapami – ma być rozszarpany. Powoli. Z godnością.

Mariusz ukłonił się tak nisko, że prawie dotknął czołem kafelków.

— Rozkaz Jaśnie Pani jasny i piękny jak poranny ból brzucha.

Za nim ruszyła sfera. Księżna wołała na nie czule: „Moje słodkie słodziaki. Moje malutkie pieseczki, moje Bakterie. Moje słodziaki, śmiercionośne słodziaki, chodźcie do mamusi.” Oczy wilków świeciły jak żarówki w brudnej klatce schodowej, języki kapały śliną gęstą jak stary kisiel.

Karl Gustaf

4.

Polowanie

Pierwszy wyszedł z kabiny Janusz „IT-Janusz”, specjalista od resetowania hasła „123456”. Poprawił koszulkę z napisem „Ctrl + Alt + Delete”, zagwizdał „Kto mi ukradł rower”, a potem przeszedł obok umywalki jak generał obok szeregu rekrutów – nawet nie spojrzął. Kropla potu z czoła spadła mu prosto na klamkę.

– Delikwent numer jeden – wyszeptał Mariusz z lubością. – Informatyk. Klasyka.

Wilki skoczyły. Chrzęst kości i chrząstek zmieszał się z dźwiękiem, jakby ktoś jednocześnie otwierał paczkę chipsów i wrywał tapicerkę z Opla Astry. Janusz zdążył tylko pisnąć „kurde, znowu update...” i runął na posadzkę. Z jego ust wypłynęła woda – czysta, klarowna, jakby właśnie wypił pół jeziora Łębarskiego, a biegunka go zanieczyściła z drugiej strony. Końcem świadomości jeszcze chciał to zatrzymać, ale to było już poza jego wolą. Nawet już nie mógł się wstydzić.

Druga wyszła pani Ania, sekretarka burmistrza od dwunastu lat, kobieta, która potrafiła jednocześnie pisać protokół i plotkować przez telefon. Obmyła dłonie wodą. Tylko wodą. Starannie. Z namaszczeniem. Bez mydła. Jakby to była jakaś nowa dieta detoks.

– Półśrodek – mruknął Mariusz. – Nie wystarczy. Brać ją.

Sfóra znów rzuciła się w ruch. Pani Ania zdążyła jeszcze krzyknąć „Przecież ja zawsze...!” zanim wilki zamknęły jej usta. Upadła obok automatu z kawą, a z jej torebki wysypały się miętówki i notes z napisem „Burmistrz prosi o ciszę”. Woda. Znowu ta sama woda. Czysta jak sumienie posła na Sejm. I biegunka.

Trzeci – i ostatni na dziś – był inż. Piotr „Architekt” z wydziału architektury i urbanistyki. Wysoki, w okularach, z teczką pełną projektów. Właśnie skończył nanoszenie poprawek do planu budowy wielkopowierzchniowej hurtowni na przedmieściach – na tym dawnym cmentarzysku po epidemii cholery z 1892 roku. „No przecież tam nic nie ma, stare kości, ziemia czysta” – mrucał pod nosem, myjąc ręce... znowu tylko wodą. Szybko. Jakby się spieszył na piwo.

Mariusz tylko westchnął z rozkoszą.

– No proszę. Pan architekt. Ten sam, co podpisuje pozwolenie na budowę nad grobami moich przodków. Idealnie.

Wilki nie potrzebowały drugiego rozkazu. Tym razem chrzęst był najgłośniejszy. Piotr upadł tuż przy drzwiach wyjściowych ratusza, trzymając jeszcze w dłoni długopis z logo miasta. Z ust popłynęła woda – tyle wody, że można by nią podlać cały plac Wolności.

Karl Gustaf 5.//

Tylko ci, którzy porządnie umyli ręce mydłem (i to dwa razy, jak nakazuje Księżna), wychodzili z łazienki w stanie nienaruszonym. Mijali wilki i Mariusza, nie widząc niczego. Dla nich korytarz był pusty.

Sprawozdanie

Korytarz lśnił dziwną, nienaturalną czystością. Mariusz otarł dłonie w chusteczkę z logo urzędu i wrócił do swej pani, która właśnie raczyła się herbatą z kałuży przy fontannie.

– Zadanie wykonane, Jaśnie Pani. Trzech delikwentów. IT, sekretariat i architektura. Biurokracja przeszła pierwszą próbę. Ci, którzy nie znają mydła, poznali wilcze zęby.

Księżna Vibrio rozsiadła się wygodniej na swoim tronie ze zbutwiełej ławki parkowej.

– Doskonale. A ten architekt... – uśmiechnęła się tak szeroko, że widać było wszystkie jej bakterie. – On podpisał pozwolenie na hurtownię. Na moim starym cmentarzysku. Jutro moi słodcy słodziacy będą mieli nowe domy. I nowe ofiary. Całe palety.

Mariusz ukłonił się głęboko.

– Królestwo – rzekła cicho Vibrio, głaszcząc po głowie najbliższego wilka – zaczyna się od toalety. A kończy się... wielką hurtownią z promocją na papier toaletowy.

Za oknem ratusza, na przedmieściach, koparki już huczały. Ziemia ustępowała. Stare kości uśmiechały się pod warstwą gliny.

Księżna westchnęła z zadowoleniem.

– No to... kto następny na fajrant?

CD Nastąpi? Nastąpi, nastąpi za rok.

Karl Gustaf

wyróżnienie: Leszek Jasiński

Autor: AZ

TRZEJ RYBACY Z ŁEBY

Przez całą noc niebo przykrywały chmury. Księżyc był niewidoczny, tak samo gwiazdy. Wszędzie panowała ciemność. Przypadkowy wędrowiec zapewne odnalazłby z trudem granicę między lądem a morzem, między piaszczystą plażą a łagodnie pofalowaną taflą wody. Morskiego brzegu nie mogły wypatrzyć zagubione, nocne ptaki i wytaniające się z wody rzadkie w tych stronach wodne ssaki. Świat przyjął barwę jednolicie czarną. Zamarł i zasnął.

Gdy zaczął się świt, na niebie rozbłysła mała, jasna plama. Przekazywała światło z niewidocznego źródła, umieszczonego gdzieś daleko za morzem, za horyzontem. Z czasem żółtawych promieni było coraz więcej, utworzyły świetlny pas nad odległą linią łączącą morze z niebem. Reszta nieba, ciągle spowita chmurami, przywdziała kolor niebieskoszary. Morze pokryło się barwą podobną, ale jaśniejszą. Na brzegu dało się już odróżnić piasek od wody. Zza wzdym wytaniały się korony sosen, ciągle jeszcze niemal czarne.

Po długiej chwili na krańcu morza pojawiło się słońce. Najpierw widoczne do połowy, potem całe. Dzięki niemu wszystko stało się wyraźniejsze i weselsze, a przede wszystkim nabrało ciepła. I woda, i piasek, i drzewa. Nie było już nocnych ciemności, zagubienia i nieokreśloności. Chłodniejsze i bardziej wilgotne powietrze zaczęło przesuwac się znad morza na ląd. Wiała delikatna, nieśmiała bryza. Zaspane chmury zaczęły powoli przemieszczać się i odstaniać fragmenty nieba. Coraz mniej było ono szare i białe, coraz bardziej niebieskie. Zmieniał się kolor morza.

Noc kończyła się, rozpoczynał dzień. Na granicy morza i plaży, w miejscu, gdzie fale tracą siłę i przestają obmywać piasek, pojawiła się pierwsza mewa. Była niemal cała śnieżnobiała, tylko jej mały dziób był żółty, pokrywy skrzydeł bladopopielate, końcówki lotek czarne. Przechadzała się tam i z powrotem. Z powagą i z uwagą wypatrywała co wokół niej się dzieje. Nie było ludzi, innych ptaków, woda delikatnie uderzały o brzeg, wiatr wiał z małą prędkością. Po chwili mewa wzbiła się w górę i prędko poleciała wzdłuż brzegu wydając wysokim i przenikliwym głosem okrzyki *kyau* i *gue*. Z pewnością cieszyła się nowym dniem, który przyniósł jasność i ciepło.

Barnim urodził się nad dużym, pozbawionym nazwy kaszubskim jeziorem. Jego rodzice prowadzili gospodarstwo rolne: siali żyto, owies i kartofle, hodowali zwierzęta. Ziemia nie była tu żyzna, nie było jej dużo. Rodzina Barnima nie cieszyła się bogactwem, ale biedy nie klepała. Byli to ludzie przedsiębiorczy, oszczędni i sumienni. Wystarczało im to, co zebrali na polu i w ogrodzie, co dostarczył pobliski las, co dawało rozległe jezioro, czyste, otoczone ze wszystkich stron wysokimi drzewami.

Bliskość jeziora zachęcała do połowu ryb. W jeziorze było ich niemało: okonie, leszcze, szczupaki, sandacze, nawet węgorze. Od młodości Barnim obserwował jak jego ojciec i wuj mocowali na dnie jeziora przynęty z ukrytym haczykiem i unieruchamiali je ciężarkami, by zwabić większe ryby. Sam łowił na wędkę z brzegu i z łodzi. Z czasem stało się to jego ulubionym zajęciem, podobnym do polowania w lesie, do wieczornych, grupowych śpiewów mieszkańców wsi lub do haftowania, które kochały jego siostra i koleżanki. On wolał samotne chwile nad jeziorem. Nauczył się dobierać przynętę odpowiednio do rodzaju ryby, którą zamierzał tego dnia złowić, wybierać miejsce, w którym pojawią się szukające żeru ryby, szukać właściwego sztucznego oświetlenia w razie wędkowania ciemną nocą. Połów stał się jego żywiołem.

Barnim był człowiekiem cierpliwym. Opanowania i umiejętności czekania nauczył się nie tylko łowiąc ryby. Obserwując rodziców i sąsiadów, pracując na polu, szukając owoców lasu i owoców jeziora, przekonał się, że do celu dochodzi się stopniowo, trzeba do tego przygotowywać się, a potem niestrudzenie realizować zamiar. Nie zamierzał przenosić się do miasta. Oznaczało to przejście gospodarstwa rolnego po rodzicach.

Mostwin pochodził z Gdańska. Jego ojciec był rzemieślnikiem, szewcem, właścicielem kamienicy położonej blisko potężnego, górującego nad miastem gotyckiego kościoła i niedaleko centralnej ulicy, tworzącej wypełniony gwarem, kupiecki trakt. W nadmorskim grodzie każda ulica była inna: mieszkańcy wykonywali odmienne zawody, różniła ich zamożność, sposób ubierania się, obyczaj, porządek dnia, usposobienie. Mostwin te różnice rejestrował z ogromną ciekawością.

Od lat chłopięcych interesował się żeglugą morską, chociaż na morze w młodości nigdy nie wy płynął. Uwielbiał spacerować po porcie, chociaż zdarzało mu się zostać znad Motławy przepędzonym. Przyglądał się licznym kogom, ich wysokim, pojedynczym masztom, prostokątnym żagliom, burtom pokrytym nachodzącymi na siebie klepkami, wyładowywanym i załadowywanym towarom. W Gdańsku wiele się działo, jego port był miniaturą świata.

Mostwina wszystko ciekawiło, wszystko starał się zrozumieć. Fascynował go drewniany mechanizm do przenoszenia towarów, balastu i masztów zamontowany na potężnym dźwigu, nazwany po latach Żurawiem. Wstuchiwał się w mowę marynarzy. Dla niego była zwykle obca, rozumiała tylko czasami, zawsze jednak słyszało się w niej zdecydowanie i wielkie emocje. Najbardziej pewni siebie byli kapitanowie statków. Młodemu Mostwinowi wydawali się krzykliwi, a wobec marynarzy napastliwi. Widywał armatorów i kupców, dobrze ubranych, milczących, spokojnych, pochłoniętych myślami, rzadko przebywających na ulicach, nie zwracających uwagi na przechodniów, zawsze patrzących przed siebie, gdy pojawiał się obok nich mały, baczny obserwator portowego życia.

Pewnego dnia postanowił zająć się w życiu handlem, zostać kupcem. Zawód ten wydał mu się najbardziej prestiżowy, trudny, a więc ciekawy, dający prestiż na tle wrzaskliwych marynarzy i kapitanów statków, także zapewniający bogactwo. Młody Mostwin wiedział, że kupiectwu nieobce jest ryzyko, czyli zagrożenie dla posiadanego majątku, oraz niepewność jak w Gdańsku i w innych dużych miastach świata potoczą się sprawy handlowe. Wchodził w życie jako człowiek zdecydowany i przedsiębiorczy. Był realistą i zdawał sobie sprawę, że zostać kupcem nie będzie łatwo. W razie kłopotów kontynuacja szycia butów, co robił jego ojciec, była na wyciągnięcie ręki.

Skąd pochodził Sulistaw, gdzie się urodził i wychował, co dotychczas robił, nie wiedział nikt. On sam o przeszłości niczego nie mówił, a gdy go o nią pytano, dawał odpowiedzi grzeczne, ogólne i niczego niewyjaśniające.

Był człowiekiem bardzo miłym, uprzejmym, skłonny do pomocy, lubianym, ale samotnym. Znało go wielu ludzi, bo też nie przebywał stale w jednym miejscu. Zajmował się leczeniem koni, co oznaczało, że musiał krążyć do wsiach i miastach, by dotrzeć do czworonogich pacjentów. Na co dzień pomagał w kuźni kowalowi z podgrodzia jednego z pomorskich miast. U zamożnego chlebobdawcy wynajmował małą izdebkę. Często podejmował się transportu towarów, które ładował na wóz ciągniony przez swoich ulubieńców: konie. Woził płody rolne, narzędzia, towary dla kupców i posiadaczy ziemskich, zaopatrywał w niezbędne jado i trunki karczmy. Poznawał ludzi, przemierzył chyba wszystkie pomorskie szlaki, znał niejedną tajemnicę handlową, a przede wszystkim wiedział dużo o miejscowych koniach i ich właścicielach.

Wyróżniał się wysokim wzrostem, silną budową ciała, był wytrzymały i mogło się wydawać, że nigdy nie czuł się zmęczony. Chętnie rozmawiał z ludźmi na wszystkie tematy poza

własną osobą. Nigdy nie narzekał, nigdy nie mówił o innych źle. Gdy słyszał o kłopotach, szukał dobrej rady. Gdy trzeba było targować się o cenę, zachowywał spokój, nie awanturował się, nie groził, pilnował swego, ale potrafił innym ustąpić. Lubił wesołą kompanię w karczmie, ale pijanego nie widziano go ani razu. Sulistaw był człowiekiem pogodnym.

Na drodze z Gdańska do Szczecina, która ciągnęła się przez całe Pomorze i przecinała na dwie części ogromną puszcze, znajdowała się karczma. Nie ma po niej dzisiaj śladu. To tutaj pierwszy raz spotkali się Barnim, Mostwin i Sulistaw.

Karczma stała w Lęborku u stóp wzniesienia nazywanego obecnie Górą Parkową. Dla kupców i innych podróżnych było to dogodne miejsce, by spożyć posiłek i zatrzymać się na nocleg. Blisko było stąd do miasta i na jego sławny z udanych transakcji kupieckich rynek. Od Gdańska karczma była oddalona o dwa dni drogi. Słynęła z przedniego węgryzyna i z doskonałych potraw ze śledzi. To tutaj można było dowiedzieć się tego, co dzisiaj wymaga sięgania po gazety, radio, telewizję i Internet. Jak przystało na porządną karczmę był to nie tylko dom zajezdny, ale i miejsce spotkań, i dobijania interesów.

Zbudowano ją z drewnianych belek, dach pokrywał gont. Do drzwi prowadziły szerokie schody, po ich lewej i prawej stronie znajdowały się po dwa okna. Karczma była dosyć stara: miała nierówny dach, ale pozbawiony dziur i otworów. Drewno budowlane zdradzało, że młodość ma dawno za sobą: widniała na nim ciemna barwa, efekt nasłonecznienia i obecności grzybów rozkładających jego naturalne składniki. Konstrukcja budynku trzymała się mocno. Przed wejściem rosły malwy. Tworzyły ściany kwiatów na przemian białych, różowych, czerwonych, łososiowych i granatowych. Wewnątrz karczmy znajdowała się rozległa sala pełna ław i stołów. Przygotowywano w niej i spożywano jedzenie. Na tyłach były alkierze dla podróżnych oraz mieszkanie karczmarza Barnaby.

Graniczące z Lęborkiem i podlęborską karczmą lasy obfitowały w jelenie, dziki, sarny i wilki. Zdarzały się żubry i tury. Karczmę otaczały potężne drzewa: dwa mocarne dęby, smukła i zgrabna topola oraz trzy sosny wysokopienne, prawie pozbawione gałęzi, za to bogate w szerokie korony, przypominające parasole. Nad wejściem widniał szyld „Pod rączym jeleniem”. Jak przystało na Pomorze słowa te zapisano po polsku, kaszubsku, niemiecku i holendersku. Nie wiedzieć czemu nie było napisu łacińskiego. Karczma było nieco stara, w stosunku do swej wielkości nieproporcjonalnie ciężka, grubokoścista, przysadzista. Wyglądała jak niemłody, odpoczywający w pozycji siedzącej, zmęczony życiem, jadłem i trunkiem niedźwiedź. Nie wiadomo dlaczego jej symbolem stał się szybki, rozpędzony, zwinny,

rączy jeleń.

Barnim właśnie sprzedał do lęborskiego młyna spory zapas ziarna żyta do zmielenia na mąkę. Uzyskał dobrą cenę. Postanowił w okolicznej karczmie coś zjeść i dowiedzieć się więcej, jaki jest aktualnie pomorski rynek zbożowy. Dla odmiany Mostwin kupił skóry na buty w lęborskiej garbarni. Nie były tanie, ale zważywszy na jakość materiału nie przepłacił ani trochę. A skoro był zadowolony, uznał, że przed podróżą do Gdańska, trzeba przypomnieć sobie, jak smakuje tutejszy, sławny, karczemny śledź. Sulistaw nie miał za sobą dopiętej transakcji. Przybył w te strony, powożąc końmi zaprzężonymi do wielkiego pojazdu wypełnionego beczkami wina. Jednym z jego odbiorców był miejscowy karczmarz. Ucieszony zapłatą Sulistaw uznał, że wzorem jego licznych gości powinien sam pokrzepić się na ciele i duchu.

Barnim, Mostwin i Sulistaw nigdy wcześniej nie widzieli się. Kiedy spotkali się pierwszy raz, szybko znaleźli wspólny język i byli bardzo radzi ze swego towarzystwa. Doszli do wniosku, że właśnie doświadczają w życiu przerwę i zanim powrócą do siebie powinni coś przedsięwziąć, coś krótkiego, ale wciągającego, a nawet przynoszącego wymierną korzyść. Każdy z nich miał trochę wolnego czasu. Może cały miesiąc. Podjęli decyzji o realizacji wspólnego planu.

Gdzie szukać przygody? Łowiąc ryby w morzu, najlepiej na wysokości Lęborka. Dlaczego? W życiu trzeba się sprawdzić. I warto to zrobić na miejscu. Nie trzeba wyjeżdżać w dalekie strony. Barnim kochał łowienie ryb, ale nie robił tego jeszcze nad morzem. Mostwin marzył o handlu morskim, ale nie wiedział, jak rozpocząć pracę w zawodzie kupca lub choćby jego pomocnika. Nie miał dotąd okazji wy płynąć w morze. Sulistaw szukał przygody. Był zaradny i chętny zarobić jakieś pieniądze. Dobrze wiedział, jak postępować z koniem. Uznał więc, że poradzi sobie ze zwierzęciem dużo od niego mniejszym – z rybą. To, co się złowi, trzeba będzie wysuszyć i sprzedać po powrocie do Lęborka, może do Pucka, najlepiej do bogatego Gdańska. Z transportem sobie poradzą. Wyjątkowo zdolny Sulistaw skorzysta ze wsparcia Barnima i Mostwina.

Zastanawiali się, czy zorganizować małą maszoperię. Tworzą ją rybacy, ich rodziny i kierujący grupą szyper. Maszoperia korzysta z własnego wycinku morza i brzegu. Ryby łowi się wspólnie. Dzieli się je odpowiednio do udziału w sprzęcie rybackim i wykonanej pracy. Jeżeli maszop, czyli członek zespołu, mieszka nad morzem na stałe, pomagają mu – głównie przy naprawie i czyszczeniu sieci – żona i synowie. Jeżeli dochodzi do tragedii i nie wraca z morza, szyper przekazuje wdowie połowę zwyczajowego przydziału ryb. Staje się on większy, gdy wdowa włącza się w prace innych rybaków. Maszoperia była organizacją zabezpieczającą

interesy drobnych rybaków przed działaniami kupców i gburów, rolników posiadających duże gospodarstwa. Maszoperie istniały na całym wybrzeżu, od jeziora Gardno na wschód. Dużo ich było na Półwyspie Helskim, tam o nieużywany, dogodny dla rybaków kawałek brzegu było najtrudniej.

Barnim, Mostwin i Sulistaw postanowili, że zaczną łowić ryby bez tworzenia maszoperii. Za bardzo to wszystko skomplikowane, a ich było tylko trzech. Dotarli do miejsca, gdzie rzeka przepływająca przez Lębork, dzisiaj znana jako Łeba, wpada do morza. Niedaleko ujścia rzeki znajduje się wielkie jezioro. W przypadku kłopotów na morzu, połów przeniesie się na wody lądowe.

Tego letniego dnia morze było wzburzone. Fale sięgały trzech metrów i więcej. Ich białe grzebienie nabrały gęstości. Wiatr kołysał nie tylko gałęziami, ale i małymi drzewami. Szum morza przypominał pomruk: dźwięk głuchy, długotrwały, niski. Na niebie przesuwwały się szybko szare chmury. Nie padał deszcz.

Nad morzem pojawili się trzej nowi rybacy. W tej części wybrzeża Bałtyku nie było ich wielu. Byli zdani na własne siły, nie liczyli na czyjąś pomoc. Kiedy zobaczyli wysokie, morskie fale, poczuli silny wiatr, zgodnie uznali, że ich zamierzenie wymaga odwagi. Nie przestraszyli się. Do tej pory radzili sobie w życiu.

Wieczorem siła wiatru i wysokość fal zmalaty.

Barnim, Mostwin i Sulistaw przygotowali biwak na leśnej polanie. Umieścili go w sporej odległości od morza, jakieś pięć staj od brzegu, dziś powiedzielibyśmy około siedmiuset metrów. Nie chcieli mieszkać bardzo blisko plaży. Wiedzieli, że wiatr od morza bywa żywiołem niebezpiecznym, uciążliwym, zdolnym rozwiać na wszystkie strony posiadany dobytek. Rozstawili szataśy, po jednym dla każdego. Obok płynęła rzeka łącząca z morzem wielkie jezioro. Oddzielało ono od niego długie, piaszczyste wydmy. Szataśy nie wymagały ociepleń: kończyła się wiosna, rozpoczynało lato. Na niewielkiej leśnej polanie mieli dostatecznie dużo miejsca, by rozstawiać i naprawiać sieci oraz suszyć ryby. Wcześniej wypadało je złowić.

Wcześniej od rybaków w Pucku kupili dwie, używane łodzie wiosłowe. Nie było na nich widać uszkodzeń, dno i boki miały starannie wyheblowane. Zbudowano je z drewna bez sęków. Ich dna umiejętnie wygięto, co oznaczało, że dzioby nie będą osiadać w wodzie, ale z łatwością będą ją przecinać. Łodzie miały wbudowany w dno i boki sadz do przechowywania żywych ryb, zapewniający dzięki otworom stały dopływ wody.

Zgromadzili trochę jedzenia. Jak go zabraknie, pojawi się ryba: dar morza, owoc wodnej głębiny i przysmak spod morskiej piany.

Trzej rybacy posłużyli się siecią nazywaną dzisiaj niewodem lub włóką. Składa się z prostokątnych płatów, tak zwanych skrzydeł, oraz z matni, odpowiednika kieszeni na złowione ryby. Górne i dolne części skrzydeł wzmacniają linki. Te u dołu obciążają ciężarki, co powoduje, że skrzydła zachowują w wodzie postać pionową. Aby ryby nie mogły uciec, między sieciami umieszcza się dodatkowo obciążony sznurek krótszy niż sznurek dryfujący na powierzchni. Dzięki temu cała sieć przyjmie postać miski.

Niewód zarzuca się z łodzi, zamykając przestrzeń jakby podkową, którą następnie zacieśnia się „przeciągając” akwen i zagarniając ryby do sieci. Czasami dodatkowo nagonia się je wiosem. Wyciągając sieć z wody trzeba przybliżyć do siebie tylko linkę dryfującą. Linkę obciążoną pozostawia się w spokoju: przemieszcza się ona sama w ślad za linką górną. Dno sieci zamyka się, a ryby trafiają do matni. Już z niej nie uciekną. Razem z nimi sieć, zwłaszcza gdy jej oczka są małe, wyłapuje zanieczyszczenia. Trzeba ją potem na brzegu rozwiesić na palikach, oczyścić, a często na nowo zszyć i naprawić.

W wodzie sieć można ustawić nieruchomo na cienkich tyczkach, dostatecznie długich, by sięgnęły dna. Trzeba wtedy czekać aż ryby zgromadzą się w miejscu, skąd nie znajdą ucieczki. Można też ciągnąć sieć rozciągniętą między dwoma łodziami. Tak też wiele razy robili młodzi, początkujący łowcy ryb. Barnim, Mostwin i Sulistaw nie wyptywali daleko. Nie bali się toni, ale uważnie przyglądali się falom i wiatrowi.

Każdego dnia zarzucali sieć wielokrotnie. Robili to tak długo, aż wypełniły się wiklinowe kosze. Zadawoleni wracali na brzeg, wyładowywali urobek, wyptynęli ponownie w morze i raz jeszcze zarzucali sieć. Kiedy słońce było nisko, gdy zmieniało kolor na intensywnie czerwony i zbliżało się do horyzontu łączącego wodę z niebem, wracali do domu. Wciągali łodzie na plażę, rozciągali sieci, przyglądali się, w jakim są stanie, i wracali z rybami w wiklinowych koszach do szatasów.

To, co złowili, zamierzali sprzedać, ale wcześniej musieli to ususzyć. Do zjedzenia pozostawiali sobie każdego dnia jedną, dwie duże ryby. Suszenie rozpoczynali od umycia morskich stworzeń w wodzie z rzeki, która nie jest słona. Potem zdobycz, powieszoną za ogon głową w dół, nierzadko po odcięciu głowy, przecięciu wzdłuż i wypatroszeniu, oddawali we władanie słońca i powietrza. Czasem dołączali do tego dym. Ryby tłuste traciły wodę wolniej, chude szybciej. Aby zabezpieczyć się przed deszczem, trzej rybacy rozstawili na tyczkach płat

materiału. Postanowili ryby suszyć wspólnie, przesuając ich podział na koniec morskiej przygody.

Bałtyk dostarcza wielu ryb. Blisko brzegu występują okoń, płoć, sandacz, szczupak. Dorsz trafia się rzadziej, a właśnie on był przez trzech rybaków pożądanym najbardziej.

Pierwszy połów ryb nie był udany. W sieć wpadły także sandacze i szczupaki, a więc ryby całkiem duże i smaczne. Złowiono ich niewiele. Wysitek był duży, emocje również, efekt niewielki, poniżej oczekiwań.

Nie zraziło to żadnego z nich. Zacięty Barnim kładł się spać bez złości na los, bez komentowania wydarzeń dnia. Racjonalny Mostwin potraktował niewielki sukces jako zdarzenie bez znaczenia na przyszłość. Impulsywny Sulistaw żartował i śpiewał pod nosem cicho i wesoło. Nastroje po pierwszej rundzie sięgania po bogactwa morza nie były złe.

Wieczorem pojawił się nad morzem silniejszy wiatr. Chmury przemieszczały się szybciej niż za dnia. Silniejszy wiatr dostarczył falom więcej energii. Mimo tego uderzały ciągle o brzeg z siłą niezmienną, niewielką. Po dwóch godzinach wiatr osłabł. Razem z ludźmi na lądzie, ptakami na niebie i łagodną morską falą po prostu zasnął.

Drugi dzień polowania na ryby okazał się nielepszy. W sieci, obok wodnych kręgowców małych rozmiarów, pojawiło się kilka śledzi i jeden, dorodny dorsz. Były to pojedyncze osobniki, morskie odyńce. Natrafienie na wymarzoną ławicę w niewielkiej odległości od brzegu było mało prawdopodobne.

Trzeci dzień pogoni za mieszkańcami Bałtyku był również słaby. Żaden z rybaków nie dawał za wygraną. Do końca eskapady zostało dużo czasu. Łowiecka karta może się odwrócić. Barnim i Sulistaw śmiali się z tego, co złowili. Mostwin nie żartował i nie miał zmartwionej miny. Wszyscy przykrywali rozczarowanie. Decydując się w podlęborskiej karczmie na morską wyprawę liczyli, że złowią więcej ryb i zarobią więcej pieniędzy. Ale był to dopiero początek.

Dni mijały. Wokół obozowiska przybywało ryb na drewnianych wieszadłach. Rybacy suszyli zwłaszcza dorsze, a także podobne do nich miętusy, czarniaki i łupacze. Polowali na ryby mało tłuste, które pozostawione na wietrze nie przestają być smaczne.

Produkowali ryby, jakie dzisiaj nazywamy sztokfiszami. Po złowieniu ucinali im głowy, rozcinali wzdłuż, patroszyli, usuwali dużą część kręgosłupa, dokładnie myli. Początkowo wieszadła umieszczali blisko tymczasowego domostwa: skarby warto przechowywać tam, gdzie się śpi. Z czasem wieszadła pojawiały się niedaleko brzegu, gdzie wiatr był silniejszy, a promieni słońca nie zatrzymywały nadmorskie sosny. Ryb przybywało, ale ciągle nie było ich

tak dużo, jak sobie wymarzyli. Nastroje jednak poprawiały się. Barnim, Mostwin i Sulistaw mówili, że zyskują nie tylko umiejętności i doświadczenia, ale także – jakby tego wszystkiego było jeszcze mało – jakiś zarobek. Może przedsięwzięcie okaże się opłacalne?

W ostatnich dniach pobytu nad morzem rybacy zajmowali się wyłącznie przygotowaniem urobku do przewozu w głąb lądu. Sulistaw przywiózł kolegów na łowy wielkim wozem. Było rzeczą niewiadomą, czy wrócą nim pełnym ryb. Okazało się, że jest ich dużo. Na odjezdnym młodzi rybacy byli w niezłym humorze. Wypadało jeszcze zlikwidować obozowisko.

Była noc. Ich ostatnia noc nad morzem. Barnim odpoczywał w szatasie, leżąc na skromnym postaniu. Co pewien czas przewracał się z boku na bok. Po męczącym dniu długo nie potrafił zasnąć. W pewnym momencie usłyszał szum. Wyraźny, niezbyt głośny, nieprzerwany, delikatny, przyjemny dla ucha, czysty, a jednocześnie mocny, trudny, by nie zwrócić na niego uwagę. Niezwyczajny! Szum w jakiś sposób nad wypoczywającym rybakiem dominujący! Czegoś takiego na leśnej polanie, gdzie zbudował z kolegami obozowisko, nigdy nie było. Panowała tu cisza, przerywana niekiedy przez zawołania mew i rybitw. Cisza, co tuliła do snu. Szum nie był groźny, nie rodził strachu, ale dla rybaka był zupełnie nowy, niespotykany.

Wyszedł z szatasu. Na środku polany dogasało ognisko. Nie było nikogo. Barnim nie zdecydował się zajrzeć do legowisk kolegów. Nie chciał ich zbudzić.

Dźwięki dochodziły od strony morza. To, co dzieje się na jego powierzchni, nocą słychać na lądzie lepiej niż w dzień. Morskie fale przetamują się, naciskają na siebie woda i pęcherzyki powietrza, które zaczynają drgać. Powstaje głos morza. Ludzkie ucho lubi te dźwięki. Rejestruje je chętnie jako nosicielei spokoju, ponieważ osłabiają dokuczliwy hormon stresu.

Barnim ruszył w stronę morza szukając źródła dźwięku. Im był bliżej, tym szum stawał się większy. Robił się intensywny, potężny. W młodym mężczyźnie nie powodował strachu. Rozbudzał zainteresowanie, dlatego wielka woda jest tak donośna, co czyni ją dzisiaj tak mocarną?

Z zadrzewionej wydmy zszedł na plażę. Zobaczył morze, jakiego nie oglądał. Choć była noc, miał przed sobą feerię światła: bogactwo gwiazd, ich odbicia w wodzie, wśród nich dodatek: zagubiony, jakby już do niczego niepotrzebny księżyc. Świat przybrał postać mozaiki szafirowej, zielonej, szmaragdowej, niemal czarnej, białej od morskiej piany, ciemnożółtej, seledynowej, pokrytej w każdym miejscu przez jaskrawe punkty czyniące wszystko dookoła dobrze widocznym. Na niebie wisiła tapiseria zdobiona gwiazdami, na morzu leżał niekończący się kobierzec gwiazd. Zastonięte tkaniną niebo było nieruchome, wodę przystaniał welon. Był

wzburzony. Niektóre jego fragmenty unosiły się wysoko w górę, inne mocno opadały w dół. Swą siłę okazywał wiatr, ale nie był to już wicher lub sztorm. Jakakolwiek żegluga była jednak ryzykowna, również połów ryb z niedużej, pozbawionej morskiej dzielności łodzi. Morze ukazywało moc i piękno, napięcie, ale i harmonię, bo przecież nie spokój. Szum wody pozostawał majestatyczny, budził fascynację i zaciekawienie.

Barnim zapytał siebie: czy to jest noc, czy może nowy dzień? Wcześniej nic nie zapowiadało zmiany pogody. Gdy wracał do obozowiska fale były łagodne, prawie nie było wiatru. Nie umiał zrozumieć, co się dzieje. Morze zamieniło się w ogromną salę pełną luster na ścianach, podłodze i suficie. Wszędzie ustawiono mnóstwo błyszczących ziarenek.

Cały czas patrzył przed siebie. Kiedy wreszcie rozejrzał się na prawo i lewo, dostrzegł Mostwina. Stał nad brzegiem nieruchomy, na chwilę skierował głowę w stronę Barnima i znowu obserwował, co się przed nim dzieje. Barnim spojrzał do tyłu szukając Sulistawa. Nie zobaczył go. Mostwin podszedł do niego, nie mówiąc ani słowa. Obaj nie odrywali oczu od gigantycznej przestrzeni, uformowanej w sposób do tej pory nigdy niewidziany.

Szum nie ustawał. Fale nadal były wysokie. Niebo i wodę zdobiły niezliczone, białe gwiazdne kropki. Barnim i Mostwin chłonęli widok, nie bali się go, nie zamierzali odchodzić.

Dostrzegli na horyzoncie wyraźny, ciemny punkt. Przybliżał się, był coraz większy, znajdował się coraz bliżej brzegu. Wreszcie rybacy mogli rozpoznać, kto bez trudu przemieszcza się po morzu pełnym grzywaczy i bryzgów.

W ich stronę na rydwanie zmierzał Neptun. Powoziły go morskie hippokampy: ni to konie, ni ryby. Za nimi podążały ichtiocentaury: pół ludzie, pół ryby, trytony: znowu pół ludzie, pół ryby, tyle, że większych rozmiarów, oraz trzy niezwyklej urody nimfy. Centralne miejsce w orszaku zajmował Neptun: wysoki, brodaty, barczysty, z trójzębem w ręce. Barnim i Mostwin zaczęli do niego machać rękami i krzyczeć. Neptun, na znak, że ich dostrzegł, podniósł w górę trójząb. Zbliżył się do nich, kierował głowę w ich stronę, przez chwilę poczuli na sobie jego wzrok.

- Neptunie, daj nam więcej ryb – pomyślał Barnim. - Niedługo odjeżdżamy. Potrzebujemy zarobku. Ciężko pracujemy.

Mostwin myślał podobnie. Chciał coś krzyknąć do władcy morza, ale ten odwrócił się do niego plecami. Odpływał. Za nim przesuwali się jego morscy towarzysze, także kończące wodny korowód przepiękne, uśmiechające się nimfy. Po chwili nikogo nie było widać.

Barnima i Mostwina ogarnęło zdumienie. Trzeźwo patrzący na świat Barnim nigdy by nie uwierzył, że coś takiego jest możliwe. Zobaczyli Neptuna, którego na morzach świata nikt

z żyjących nie widział. Oczy nie kłamały. Jeszcze bardziej zagubiony czuł się doszukujący się w życiu wyjaśnień Mostwin. Coś takiego nie mogło się zdarzyć. Jak oni wszyscy mogli defilować tak blisko brzegu? Płynęli tam, gdzie jest bardzo płytko.

Na horyzoncie pojawiła się nowa plama, tym razem czarno-szaro-biało-czerwona. Szybko powiększała rozmiary i posuwała się z równą prędkością w stronę rybaków na plaży. Nie za długo mieli oni przed sobą duży, stary korab, potężny trzymasztowy żaglowiec z wysoką nadbudówką na rufie. Wszystkie żagle były postawione: dwa rejowe na przednich masztach i taciński na bezanie. Nic dziwnego, że korab radził sobie łatwo na wzburzonym morzu.

Rybacy wypatrywali członków załogi. Nie zobaczyli nikogo. Pokład był oświetlony na dziobie i rufie przez potężne świece. Dawaty dużo światła, czyniły białe żagle czerwonymi. Dzięki nim cały okręt był dobrze widoczny, bez trudu dało się odróżnić maszty, reje, liny. Takich świec Mostwin nie widział nigdy w Gdańsku. A w ogóle: dlaczego nie zgasty one na silnym wietrze?

Statek nie miał bandery. Na dziobie nie widniał żaden galion nawiązujący do nazwy statku. Dziwny statek. Dołynął do brzegu, nie przeszkodziła mu płyiczna, ustawił się do patrzących bokiem, zaimponował wielkością i powoli przed nimi przepłynął. Nie zatrzymał się.

Co to za statek? Może zagubiony na Bałtyku żaglowiec, który próbuje dotrzeć do Gdańska lub Pucka? Może piraci? Może korsarze w służbie Jego Królewskiej Mości? Może latający Holender, który przynosi ludziom morza pecha i lepiej go nie oglądać? Może okręt-widmo? A może przybysz z dalekiej, szczęśliwej krainy, promieniejący radością, imponujący na wzburzonych wodach dzielnością morską: niewywrotny, stateczny i sterowny, stary i jary?

Korab odplynął. Barnim i Mostwin spojrzeli po sobie i pomyśleli, że na niezamieszkałym wybrzeżu byłby dla nich nieocenioną pomocą w łowieniu ryb.

Młodzi rybacy wpatrywali się w morze dalej. Nieoczekiwana przygoda jeszcze się nie skończyła.

Z wody wyskoczyła potężna ryba. Był to skok wysoki, niemal pod kątem prostym. Wcześniej ryba musiała intensywnie machać ogonem i nabrać wielkiej prędkości. Po pewnym czasie skok powtórzyła. Niewykluczone, że pojawiła się druga ryba, równie potężna.

- Musi być długa na sześć łokci, to olbrzym – pomyślał Barnim, który w swoim kaszubskim jeziorze takich ryb nigdy nie oglądał.

- Co to jest? Rekin? – zastanawiał się Mostwin. Słyszał w Gdańsku o takich rybach. Są duże, wyskakują z wody i atakują ludzi. Ale nikt nie opowiadał, że spotykał je w Bałtyku.

Ryba powtórzyła skok. Trwał krótko, ale dociekliwy Mostwin spróbował rybę opisać.

- Na grzbiecie miała z przodu płetwę w kształcie trójkąta – rejestrował obserwacje. - Na grzbiecie za nią były płetwy mniejsze. A może tak samo duże, trudno powiedzieć. Coś miała na brzuchu. Jakąś płetwę? Jak wyglądała? Była nieduża.

Mostwin nie umiał rozpoznać ryby. Podobnie Barnim. Tymczasem ryba wykonała kolejny skok, najwyższy ze wszystkich. Najbardziej popisowy.

- To pewnie jest delfin – stwierdził w myślach Mostwin. - Wiem coś o nim. Pamiętam statek, na który wielki gdański dźwig ładował zboże. Trójmasztowy holk z banderą pomarańczowo-biało-niebieską. Na przedłużeniu dziobu była rzeźba delfina, bo też statek nazywał się „Dolfijn”. Ale nigdy nie słyszałem, by delfiny pływały w Bałtyku. Barnim o delfinach nie słyszał nigdy. Był zdezorientowany.

Obaj długo wpatrywali się w morze. Żadne postacie już się nie pojawiły. Nie powrócili Neptun i nimfy, nie przyplłynął starożytny korab, ani inna, imponująca wyglądem nawa, nad powierzchnię morza nie wspięły się wielkie ryby, nie przyplłynął ani rekin, ani delfin, ani wieloryb. Ciągle trwał rozgwieżdżony świat. Na niebie i na wodzie błyszcząły gwiazdy, w które bez końca wpatrywali się dwaj rybacy na brzegu. Świejące punkty powoli zaczęły tracić siłę, stopniowo gasnąć i znikać, na niebie pozostał jedynie cienki półksiężyc, dopiero teraz przydatny, bo przynoszący światło. Wiatr cichł, przez rybaków był coraz mniej wyczuwany. Fale słabły, traciły wysokość, gubiły przydającą im grozę i powagę białą pianę. Na morzu utrzymywały się nieduże zmarszczki. Utkany z wody dywan nieruchomiał, aż zrobił się zupełnie płaski. Ciemniało. Barnim i Mostwin powrócili na leśną polanę.

Każdy dzień trzech rybacy rozpoczynali od śniadania. Najczęściej jedli ryby złowione poprzedniego dnia. Podobne były obiady i kolacje. Na odjezdnym sięgali po ryby wcześniej ususzone.

Barnim nie czuł się wyspany. Powiedział o tym kolegom i dodał, że miał długi, dziwny sen. Przyśniło mu się morze rozświetlone nocą przez setki gwiazd, po którym pływały orszak Neptuna, starodawny statek i wielkie, wyskakujące z wody ryby. Mostwin stwierdził, że miał sen podobny: morskie dziwy oglądał stojąc obok niego na brzegu. Doznania niezapomniane.

Sulistaw śmiał się, że to niemożliwe, by dwóm osobom przyśniło się to samo. Dopytywał się o szczegóły przedstawienia, które według niego nie mogło być zdarzeniem rzeczywistym, ani nawet senną zjawą. Kiedy koledzy opowiadali o potężnych rybach i ich ewolucjach w powietrzu, twierdził, że w nocy był na brzegu morza, widział gigantyczną rybę, nie spotkał kolegów, nie zobaczył Neptuna i żaglowca, nie zapamiętał na niebie gwiazd, cały czas miał przed oczami

wielki, niespotykanych rozmiarów księżyc. Dzięki niemu zobaczył ryby popisujące się potęgą i zręcznością. Ale Neptun, korab, świetlny dywan – tego nie było.

Trzej rybacy rozebrali szatały, zdemontowali patyki do rozwieszania sieci, załadowali dobytek na wóz, a przede wszystkim starannie na nimi ułożyli suszone ryby. Wsiadli na wóz. Konia wypożyczył dobrze znający te zwierzęta Sulistaw. Odjechali.

- Co zamierzacie robić po powrocie do domu? – zapytał Barnim.

- Ciągle marzę o wielkiej żegludze. Na początek zamustruje się na statek. I popłynę do Amsterdamu, o którym dużo słyszałem. Łowienie ryb nie odstraszyło mnie – odpowiedział Mostwin.

- A ja chciałbym się ożenić. Znam kilka panien w okolicy. Jest z czego wybierać. Tak naprawdę, już wybrałem. Muszę działać aktywnie. Rozumiecie. Nie ja jeden mieszkam w moich stronach – stwierdził z dużą szczerością Sulistaw.

- Żenić się, czy się nie żenić. Cokolwiek zrobisz, będziesz żałować! – Barnim przyjął postawę filozofa.

- Ciekawe, czy będziesz dalej tak mówił, jak sam zaprosisz mnie na ślub – odparował Sulistaw.

- Najważniejsze, że trochę ryb mamy. Sądzę, że wszystko kupi Barnaba z Lęborka. Ten od rączego jelenia. - Mostwin zawsze patrzył na świat praktycznie. - Jedyne jelenie w Lęborku. – dodał nieco złośliwie.

Wiele teraz zależało od karczmarza. Ceny ryb będą przedmiotem targów. Na pewno trudnych.

- Potów w zasadzie się udał – dodał Mostwin. - Nie wiemy tylko, jak bardzo.

Rybacy właśnie zjeżdżali z góry na dół w miejscu, gdzie dzisiaj kończą się Garczegorze, a zaczyna się Nowa Wieś Lęborska. Ze zbocza wzniesienia morenowego rozciąga się stąd dzisiaj piękny widok na Lębork. Dawniej wszędzie rósł las, przecinał go wąski dukt, miasta nie było widać.

Na drogę, przed wóz z rybakami, wbiegł jelenie. Zatrzymał się. Spojrzał na konia. Zauważył ludzi. Znieruchomiał. Był potężny, wysmukły, miał gładką plamistą rdzawobrunatną sierść, silną szyję, cienkie, ale zgrabne i wytrzymałe nogi. Przyglądał się podróżnym. Dla niego był to widok niecodzienny. Barnim, Mostwin i Sulistaw również nie ruszali się. Milczeli.

Jelenie imponował porożem. Rozbudowaną koroną, delikatnie zagiętymi opierakami, prostymi oczniakami, pięknie zakrzywionymi nadocznikami. Ile miał odrostków, ile zatem

prawdopodobnie miał lat, trudno było z daleka policzyć. Na jego dumnej, spokojnej, zamyślanej głowie widniał królewski wieniec leśnej urody i chwały. Był królem lasu, władcą lęborskiej puszczy, gospodarzem ziem otaczających miasto. Trzej rybacy z Łeby dobrze to rozumieli i dlatego czekali na pierwszy ruch tego, kto był od nich ważniejszy.

Jeleń ciągle przyglądał się przybyszom. Po chwili wykonał duży skok i zniknął w krzakach. Droga do Lęborka była wolna.

W Łebie na Skwerze Rybaka znajduje się pomnik trzech rybaków. Nie do końca wiadomo skąd oni tutaj się wzięli. Pewna legenda głosi, że są to ludzie morza, którzy narobili sobie kłopotów z trafieniem po śmierci do nieba. Kto to wie?

Dzisiaj dwaj z nich stoją na pomniku zapatrzeni w morze. Trzeci stara się do nich dołączyć. Może patrzą, jaki jest stan morza? Jaki wieje wiatr? Czy warto dzisiaj zarzucać sieci?

Może powstał rzeźbiarski zapis opowieści, jakie Barnim, Mostwin i Sulistaw, zadowoleni z wyprawy na ryby, chętnie rozgłaszali w lęborskiej Karczmie „Pod rączym jeleniem”? Długo świętowali tam rybackie łowy. Opowiadali o Neptunie, hippokampach, ichtiocentaurach, trytonach, nimfach, o rozjaśnionej fregacie i skaczących rybach. Byli zadowoleni. Fortuny w ciągu miesiąca nie zdobyli, ale nie wracali do domów z pustymi rękami.

wyróżnienie: Dariia Lohvynenko

Tajemnica domu przy ulicy Sienkiewicza 13

Przedmowa

Opowiem wam tę detektywistyczną historię dzisiaj, 15 marca 2026 roku, choć wydarzyła się tak dawno, że nikt już nie pamięta kiedy. Można jednak z całą pewnością rzec, że niebo było na górze, a ziemia na dole. Bóg Perun, mieszkający w niebiosach, strzelał piorunami z nudów i zupełnie nie dbał o to, że ich ogień wywołuje pożary tam, daleko w niskościach, w spokojnym ziemskim świecie, gdzie płyną leśne strumienie, a ptaszęta wiją gniazda.

Za porządek na Ziemi odpowiadał bóg Weles i niewymownie cierpiał widząc, jak w pożarach giną niewinne żywe istoty, które kochał niczym własne dzieci. Gdy Perunowi urodziły się dzieci, bliźnięta, Weles postanowił pokazać mu, jak bardzo boli ich strata. Wykradł chłopca i ukrył go w podziemnym królestwie.

Chłopiec był prawdziwym aniołkiem – krzepki brzdąc z białymi lokami i wielkimi błękitnymi ślepiami. Weles postanowił, że wychowa go na prawdziwego gospodarza, kochającego swoją ziemię, sprawiedliwego i używającego boskiej mocy ognia wyłącznie dla dobra żywych istot. I nadał mu imię Jaryto. Chłopak rósł i nabierał sił.

Serce Peruna pękło zaś na zawsze. Z gniewu wstrząsał wszystkim wokół, miotając piorunami. Nawet z jego oczu zamiast łez sypały się iskry. Miotał się z żalu, a ciężkie chmury burzowe przystłoniły światło dnia. Fale oceanów i mórz szalały, pokrywając się lodem, a kry łamały się i spiętrzały w chaotyczne stosy. W sercu Peruna nie zostało ani krzty miłości do nikogo innego. W swojej wściekłości niemal oszalał. Strącił drugie bliźnię na dół i ziemia zamarzła całkowicie.

Dokładnie w tym miejscu, gdzie dziś leży Lębork, około 14–12 tysięcy lat temu zalegał lądolód. Jego grubość wynosiła około 200–300 metrów. To właśnie ten lodowiec ukształtował rzeźbę terenu wokół Lęborka – wzgórza morenowe, dolinę rzeki Łeby i źródła artezyjskie w Okalicy. Współczesne tereny Gdańska, Gdyni, powiatów: bytowskiego, gdańskiego, kartuskiego, kościerskiego, lęborskiego, słupskiego, starogardzkiego, tczewskiego i wejherowskiego – były całkowicie pokryte lodem. Nie było na nich życia.

Morze Bałtyckie również zamarzło całkowicie. Ludzie, którzy ocaleli, mogli na saniach dojechać po lodzie aż do współczesnej Szwecji, wyobraźcie to sobie! To były ciężkie czasy i oczywiście ludzie modlili się i prosili o pomoc wszystkich świętych, których znali. Naukowcy etnografowie ustalili, że w toku dziejów imię bohatera, który pokonał ciemność, przetransformowało się z Jaryty w Jerzego, lecz jest to ta sama postać władająca boską mocą. Zachowały się pieśni przywołujące tego bohatera, by przyspieszył odwilż:

— „Święty Jerzy, gdzieś ty był? — U Boga ja był, klucze brał. Ziemię otwierał, trawę puszczał, Trawę jedwabną, rosę miodową.”

„Święty Jerzy idzie po świecie, Złote klucze niesie w rękę, Ziemię otwiera, rosę puszcza, Żeby trawka wyrosła, Żeby było się pasto.”

Uwaga! Nasze śledztwo oparte jest na wiarygodnych faktach i nie inaczej.

Na granicy światów

Pewnego jasnego letniego dnia młody, silny wojownik na białym koniu postanowił schronić się przed upałem w chłodnej jaskini (1). Rozłożył swój płaszcz na zielonym, miękkim mchu i położył się na spoczynek. Gdy tylko przymknął powieki, usłyszał cichy głos dobiegający gdzieś z głębi jaskini: „Znajdź mnie...”. Młodzieniec pomyślał, że to sen, lecz głos wciąż go wołał. Był to głos dziewczyny i zdawał mu się znajomy. Wojownik zostawił uwiązane konia i ruszył w głąb. Jaskinia stawiała się coraz niższa, jej piaszczyste ściany pokrywały się lodem i czerwieniły, jakby czyjaś krew przesiąkała przez kamień. Dalej musiał się czotgać. Czotgał się całą dobę, pnąc się w górę i w górę. Z przodu zamajaczyło światło, co dało mu nadzieję, że postępuje słusznie. Lecz im więcej lodu było w ścianach przejścia, tym mocniejszy żar rozpałał się w jego piersi. Od ognia jego serca wszystko zaczęło tajać, młodzieniec dosłownie przeciskał się przez mokry piach i glinę, aż uderzył w bryłę przejrzystego lodu. I nie uwierzył własnym oczom. Przez ogromny lodowy blok przebijało się rozproszone światło i wyraźnie widać było dziewczynę, która w nim zamarzła. Głos dobiegał stamtąd. Tak. Czuł, że znają się od dawna, a może tylko mu się tak zdawało? Sam już nie wiedział.

Topniejący lód kapał z góry niczym deszcz i wojownik zauważył, że dłoń dziewczyny odtajała i zwisa z lodowego grobowca. Ujął jej dłoń w swoją i ucałował.

O nie! Dziewczyna drgnęła gwałtownie, a na jej skórze pozostał oparzel!

Trzeba było działać, lecz młodzieniec – jak się już pewnie domyśliliście, był to Jaryto – nie mógł oderwać wzroku od boskiego piękna lodowej branki.

Lód topniał dalej, zamieniając ziemię w błoto. Lodowa trumna zaczęła płynąć. Na górze, na ziemi, tający lodowiec ruszył z miejsca, siły rzeki i mokrego lodu zjednoczyły się. Ogromne masy roztopowej wody mieszały się z gliną, piachem i tłuczniem, zmieniając się w gęstą, ciężką mazię. Te błotne lawiny miały ogromną moc – pchały przed sobą głazy wielkości domu niczym piłeczki tenisowe.

W dolinie rzeki (2) ogromne bryły lodu z wmarzniętymi kamieniami odrywały się i dryfowały. Gdy taki iceberg tajał, kamień opadał na dno. W tym chaosie Jaryto niemal stracił swoją lodową księżniczkę. Widział, jak gład wypadł z takiej lodowej tratwy prosto do jeziora i zdejmując buty, podpart nimi z dwóch stron lodowy grobowiec. Obliczył w myślach prędkość: 10–15 m/s; widział, że żywioł nie omija przeszkód, lecz je pożera; zauważył, że gdy odycha powoli, to i natura zwalnia. A zatem trzeba się odprężyć. Wdech-wydech... Zamknął oczy... i poczuł, że jego serce nie bije samotnie. Kołacze w unisono z innym. I usłyszał, czy też uchwycił głos? A może to był jego własny głos? Albo jej?

— Jesteśmy razem, ukochana... Jesteśmy razem.

Jaryto nigdy nie był tak długo na powierzchni ziemi i nawet nie przypuszczał, do czego może to doprowadzić.

Święty Jerzy klucze bierze (Klucz Jaryty)

Należało działać ostrożnie. Młodzieniec zrozumiał, że gwałtowne roztopianie lodowego grobowca to wielkie niebezpieczeństwo. Jego lodowa oblubienica mogłaby zginąć od nagłego żaru. Trzeba było czekać. I czekał dziesięć tysięcy lat.

Dziesięć tysięcy lat trwał przy niej, bojąc się dotknąć dłoni narzeczonej. Żar jego serca, gorący oddech, blask miłości w jego promiennych oczach – jego nieogarniona miłość stała się ogniskiem ciepła dla całego świata.

Wielkie rozmrażanie nie znosi pośpiechu, lecz 3000 lat temu skandynawski lodowiec w końcu stopniał. Rzeźba terenu uległa zmianie, stare rzeki odeszły głęboko pod ziemię, utonęły pod pokładami pradawnej gliny, zachowując dziewiczą czystość lodu i ożywczą, odradzającą moc Słońca. Morze Bałtyckie wypętniło się, napierało, a wędrujące wydmy zasypywały dębowe i bukowe lasy w Łebie piaskiem. Świat zmieniał się i przygotowywał do wielkich przeobrażeń, lecz one jeszcze nie nastąpiły.

Ożyły trawy i drzewa. Lecz nie lodowa panna. Powiadano, że bursztyn znaleziony na brzegu to „Łzy Słońca”, które wylewało ono nad swą narzeczoną przez tysiące lat. Ludzie nauczyli się postugiwać ogniem, lecz nie potrafili jeszcze pisać ani kreślić planów. Zimy bywały skrajnie srogie i tylko ciepło zwierząt pozwalało ludziom przetrwać mrozy. Rodziny z dziećmi, kozy i krowy mieszkały razem w długich domach.

Jaryto obmyślił plan. Znalazł w pobliżu grodzisko (3), otoczone wodą z trzech stron i bagnistą pradoliną, a z czwartej – podwójnym wałem ziemnym i głęboką fosą. Odnalazł ołtarz ofiarny i mistrza o imieniu Kow (4), który po zapachu dymu z dołu rozpoznawał, kiedy drewno zmienia się w węgiel, czuł oddech palącego się drzewa i znał się na ziołach. Kow przygotował zawczasu napitki dla panny: odwar z pąków wierzby, by uśmierzyć „ból lodu”, sok z brzozy i ciepłe piwo.

Kowal z Siemirowic wzniósł wokół lodowego pancerza dziewczyny kopułę ze słomy, przetykając ją gałązkami woskownicy z nabrzmiałymi pąkami, wysmarowanymi żywicą. Na spodzie ułożył brzozową korę i skinął głową:

— Teraz dotknij.

Jaryto wyciągnął rękę. Tam, gdzie jego palce zaledwie musnęły nasączoną żywicą słomę, wybuchł nie płomień wściekłości, lecz płomień życia. Stomiany kokon zmienił się w złotą piec. Iskry wystrzeliły niczym fajerwerki, słoma zapłonęła, potem zaczęła się tlić i lodowa bryła zapałała. Powietrze wypełniło się tym samym aromatem, który poczujecie i dziś, gdy podpalicie kawałek bursztynu z bałtyckiego brzegu. Ten dym nie parzył – pieścił lód niczym ciepła wiosenna mgła. Całe grodzisko w mgnieniu oka wypełniło się wyczekiwany ciepłem wczesnej wiosny, sprawiając, że ziarna zaczęły pękać w zmarzniętej ziemi.

Zaledwie po kilku godzinach ukazała się im niewystawionej boskiej urody naga dziewczica. Jej czarne włosy sięgające pięty, ogromne ciemnobrązowe oczy na wychudzonej twarzy i blada, biała skóra były tak niezwykle, że Jaryto i Kow poczuli się zbici z tropu. Na szczęście wyszeptła: „Pić... chcę pić...”.

Owinęto ją w owcze skóry i przeniesiono w ciepłe miejsce. Jaryto nie odstępował jej na krok, lecz wciąż nie mógł jej dotknąć, by nie oparzyć. Patrzyli sobie w oczy i nie mogli się nasycić swoim widokiem, nie mogli się nacieszyć, tonęli w sobie, pieszczeni promieniami miłości. Miała na imię Marzana. Opowiedziała, że jedyne co pamięta, to grzmoty, błyskawice i chłód. Że zawsze wiedziała, iż ukochany ją ocali, lecz nie mogła się poruszyć. Jaryto pragnął ją pocałować, lecz było to niemożliwe. Wtedy Marzana owinęła sobie rękę mokrym płótnem, podała ją Jaryle i wyszli nad jezioro.

— Zrobimy to? Tak?

I skoczyli do jeziora, trzymając się za ręce. Marcowa woda zasyczała. Nad jeziorem natychmiast wzbił się potężny słup gęstej białej pary, skrywając ich przed oczami mieszkańców. To nie była zwykła mgła – w tym obłoku zderzyły się dwie wieczności. Słychać było, jak z dzikim hukiem pękają resztki przybrzeżnego lodu, nie wytrzymując szoku termicznego. Woda w Okoniczce zakottowała się niczym w gigantycznym kotle i w tym chaosie dźwięków utonął pierwszy, przesywający krzyk Marzany – lecz nie z bólu, a z niewiarygodnego, przerażającego powrotu zmysłów.

Gdy para nad jeziorem opadła, nad wodą ukazały się dwie głowy. Marzana nie była już blada i przezroczysta; usta i policzki zapłonęły rumieńcem, a w oczach lśniły isierki szczęścia. Jaryto przestał oślepiac nieznośnym blaskiem – teraz promieniał miękko, jak słońce przed wieczorem. Wyszli na brzeg siemirowickiego cypla i tam, gdzie ich mokre stopy dotknęły zmarzniętej ziemi, śnieg nie tylko topniał – spod niego natychmiast przebijały się leśne krokusy.

Kowal-mag, stojąc na wale grodziska, milcząc podał im wiostę z czarnego dębu.

— Nie traćcie czasu — mruknął basem. — Woda w rzece Okalicy już przybrała, czeka na waszą łódź. Tam, gdzie bystra Okalica oddaje swe dziewictwo Łebie, woda zwalnia bieg. Życie nie czeka, ono spieszy się narodzić. Gard nad Łebą was przyjmie.

I pobiegli do czółna, czując, jak w rytm ich kroków budzi się całe Pomorze.

Wesele w Lewicach (Lęborku)

Bystra, przejrzysta, dziewiczo czysta Okalica porwała ich w tan. I tam, gdzie niegdyś Jaryto i Marzana zostawili swój ślad, zaczęło się misterium, które trwa po dziś dzień. Lębork otrzymał wyjątkowy skarb: woda nie tylko płynie z kranu – ona dokonuje wzniesienia z wnętrza ziemi przez potężne warstwy mineralne pozostawione przez lodowiec, zachowując swoją biologiczną strukturę i czystość.

Wesoły duch płodności, Jigrzan (6), już czekał na młodych. To nie była sztywna ceremonia, wesele już trwało. Powietrze wibrowało od bębnow z sarniej skóry, cała przestrzeń odpowiadała

na ten rytm. Taniec życia budził dziką naturę i to, co zaczęło się jako święty związek dwojga, natychmiast odezwało się w każdej komórce otaczającego świata.

Jigrzan wirował wokół pary, a tam, gdzie jego bose stopy dotykały ziemi w dzikim, pierwotnym rytmie, gleba zaczynała oddychać. Nie dotykał ziemi piętami, jakby unosił się na czubkach kopyt. Wyśpiewywał błogostawieństwa, wydawał dźwięki pękających pąków i kruszejącego lodu. Pod ten pradawny bit – pierwszy beatbox w historii Pomorza – krew w żyłach Marzany i Jaryły tętniła w jednakowym tempie.

W tym ekstazie zjednoczenia wszystko co żywe w promieniu wielu mil poczuło impuls: ziarna w spichlerzach grodziska wykiełkowały, a w każdej chyży nad biegiem Łeby życie oznajmiło o sobie pierwszym krzykiem noworodka.

W tej samej chwili, gdy Marzana musiała opaść na miękki dywan z olchowych bazi, wierzby nad Łebą w sekundę pokryły się gęstym puchem, ryby zaczęły tarło, barwiąc mielizny srebrem, a ptaki, które właśnie przyleciały z południa, prosto w locie splatały gniazda z promieni słonecznych Jaryły.

Wielkie wesele żywiołów. Narodziny w tańcu. Do tego dnia woda w dolinie Lewic jedynie spiętrzała się i wylewała z brzegów. Lecz Jigrzan, wzniosłszy ręce ku niebu, puścił się w tak szalony płas, że ziemia pod jego kopytami zaczęła się uginać.

— Biegnij, siostrzyczko! — krzyczał do rzeki. — Nie godzi się żywej wodzie kisać!

Każdy obrót jego tańca stawał się zakolem rzeki. Wytoczył drogę przez wydmy i sosnowe bory, otwierając Łebie drogę do morza. Nowa tętnica, którą dziś pulsuje samo życie.

Lato po raz pierwszy stało się piękne.

Sąd Najwyższy i Cień Welesa

Lecz wielkie szczęście bogów zawsze budzi trwogę u tych, którzy nawykli do ciszy. Weles, który wychował Jaryłę w podziemnym królestwie, nie chciał tracić swego najlepszego ucznia. Ukazał się im o zmierzchu, gdy nad Lewicami wzeszła pierwsza gwiazda, i wyjawiał całą prawdę:

— Jesteście dziećmi Peruna, bliźniętami rozdzielonymi przez los. Brat i siostra, Ogień i Lód nie mogą być razem na wieki, gdyż ich związek burzy porządek światów. Wasza rozłąka była pisana. Nie powinniście się spotkać, a skoro już tak się stało, musicie się rozstać. W świecie musi panować spokój.

Jaryło był zdumiony, a Marzana wpadła w gniew. W mgnieniu oka powietrze stało się mroźne, a kwiecie jabłoni opadło. Jaryło objął matzonkę i ogłosił donośnie:

— Wzywam moce Sądu Najwyższego! I na ciebie, Welesie, znajdzie się prawo.

Nad dawnym Lęborkiem zeszyły się nie chmury, lecz same Cienie Początków. Wszystko zaczęło się już o świcie. W ciężkim obłoku nad Łebą, na złotym tronie z zastygłego czasu siedział Rod,

którego siwe włosy przechodziły w korzenie kosmicznego drzewa. Obok niego siostry Dola i Niedola przędły nieskończoną nić, w którą wplecione były i czarne pióra wron, i losy bogów.

— Naruszyliście Porządek — zagrzmiął Rod. — Brat i Siostra, Ogień i Chłód. Jeśli się nie rozstaniecie, świat zamieni się w gorącą parę i ugotuje się niczym zupa! Niech wypowie się Rada. Marzana przytuliła do siebie dziecko, a Jaryło ostonił ich własnym ciałem. Wtedy Liczyboh (Czuryło/Liczebóg), uderzywszy kosturem o ziemię tak, że zadrżały wnętrza Lęborka, ogłosił wyrok:

— Każdy ma swój czas. Przez połowę kręgu Jaryło będzie należał do Światła i Marzany. Przez drugą połowę – do Ciemności i Welesa. Rozłąka jest ceną za życie waszego dziecka i za porządek na tej ziemi. Mojry, wasze słowo.

— Och, no cóż, no cóż, my co? My tylko przędziemy, przędziemy i oto co powiemy... Co to za rozstanie bez pożegnania? Kochają się przecież, a miłość co? Święta jest, ot co. Niech żegnają się choćby i dwa razy, nam nie szkoda. Ale tak całkiem nie wolno? Nie wolno. Zatem tak: niech wiosną się spotykają, a jesienią – żegnają, tak będzie sprawiedliwie, prawda? Co powiesz, Rodzie?

Nie będziemy zwlekać, werdykt jest taki: Będziecie razem, lecz nie jednocześnie. Liczybohu, postaw pieczęcie.

Liczyboh postąpił krok naprzód. Jego oczy były jak dwa cyferblaty, w których wirowały gwiazdy. Ujął dłoń Jaryły i przyłożył do środka jego dłoni rozżarzony miedziany dysk. Bóg krzyknął, a na jego skórze wystąpił znak Kołowrotu – odtąd jego czas odmierzany był sekundami, minutami i dniami. Następnie Liczyboh dotknął dłoni Marzany srebrnym pierścieniem i nałożył Słoneczny Krzyż – nieruchome koło, które strzeże pamięci.

— Teraz spójrzcie na swoje dłonie, dzieci moje — rzekł Sędzia. — Gdy linie na dłoni Jaryły zaczną blednąć – przyjdzie czas Welesa. Gdy na dłoni Marzany zapulsuje błękitna żyłka – Jaryło powróci.

Liczyboh wiedział co robi. Dał Jaryle Kołowrót – by ten nigdy nie ustawał w powrotach. Marzanie zaś dał Słoneczny Krzyż – by miała na czym się wesprzeć w długich miesiącach oczekiwania.

Tajemnica domu przy ulicy Sienkiewicza 13

Powiadają, że właśnie w tym miejscu, gdzie dziś stoi dom nr 13 przy ulicy Sienkiewicza w Lęborku, odbyło się ich ostatnie spotkanie przed pierwszą długą rozłąką. Ziemia tutaj do dziś pamięta ciężar tego pożegnania. Jaryło i Marzana stali objęci tak długo, że tzy Marzany wyżyłoby całe rzeki, a ziemia do dziś nie wyschła. Nawet współczesne latarnie nie potrafią tu stać prosto – pochylają się ku ziemi, jakby próbowały podstuchać szept kochanków lub skłonić się przed ich wielkim smutkiem. A myśleliście, że krzywe latarnie to błąd budowniczych?

Teraz zdziwicie się jeszcze bardziej.

Gdy Jaryło odchodził w mrok, stado ptaków krążyło nad nimi, jakby chciały zapamiętać każdy szczegół i roznieść nowinę po całym świecie. Marzana w rozpaczy machnęła rękami, a jej białe lodowe łzy rozprysły się na wszystkie strony. Jaryło zaś, nie chcąc zostawić ukochanej w całkowitej ciemności, w ostatniej chwili odwrócił się i prysnął swym boskim światłem na wszystko wokół.

Rozbryzgi światła Jaryły i lodowe łzy Marzany zmieszały się w powietrzu i upadły na ptasie pióra. Od tamtej pory na podwórku przy Sienkiewicza 13 żyje niezwykła dynastia kawek z białymi znamionami (5).

Białe plamy to znaki wiecznej miłości. Każdy ptak ma je inne: u jednego to iskra światła Jaryły na skrzydle, u innego – mroźna łza Marzany na piersi. Ich błękitne oczy to pamięć o artezyjskiej czystości Okalicy, w której niegdyś się potoczyli.

Kawki z Sienkiewicza 13 to żywe listy. Gdy Marzana widzi je w zimowym Lęborku, wie: Jaryło o niej pamięta. A gdy Jaryło wiosną dostrzeżę białą iskłę na czarnym skrzydle, przyspiesza swój bieg z podziemnego królestwa do swej Śnieżnej Królowej.

Epilog

Dzisiaj, 15 marca 2026 roku, patrząc na krzywe latarnie i dziwne, łaciate ptaki na podwórku, rozumiemy – Jaryło już jest w drodze. Kawki przy Sienkiewicza 13 czyszczą swe naznaczone światłem pióra. A woda w naszych kranach płynie wciąż tak samo dziewiczo czysta, przypominając o tym, że nawet po dziesięciu tysiącach lat lodu – miłość zawsze znajdzie sposób, by rozmrozić ten świat.

Przypis autora

1 - Groty Mechowskie (w Mechowie, około 50 km od Łeby, gmina Puck)

2 - Rzeka Okalica, 18 km od Lęborka

3 - Grodzisko Siemirowickie nad jeziorem Okoniczka

4 - Odnosi się do współczesnego nazwiska Kowal

5 - Leucyzm (лейцизм) - opisana w opowieści mutacja u lęborskich kawek to rzadka cecha genetyczna polegająca na częściowym braku pigmentu (melaniny) w piórach. W przeciwieństwie do albinizmu, leucyzm nie zmienia koloru oczu. Zjawisko to często występuje w osiadłych populacjach miejskich, co w naszej historii tłumaczy istnienie „lokalnej dynastii” ptasich postaci, wiernych jednemu miejscu od tysięcy lat.

6 - Jigrzan - archaiczne kaszubskie bóstwo gry, tańca i wiosennego entuzjazmu. Postać ta została uwieczniona w klasycie literatury kaszubskiej przez **Aleksandra Majkowskiego** w eposie „*Życie i przygody Remusa*” (1938).